Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 9 sierpnia 1936 r. Nr. 32



Piękny jesteś świecie!

Piękny jesteś świecie — i w pszczół radosnym brzęku,
Gdy wracają z pola do uli swych z zbiorami,
I w ciszy, co idzie szeroko wkrąg polami,
Usypiając życie i tłumiąc wszelkie dźwięki.

Piękny jesteś, świecie — i w szumie trzcin i kłosów,
I we wrzawie ptasich rozgłośnych hen, sejmików
I w cierpkości ostów i w słodyczy pokosów
W huku nagłych gromów i w szmerze rzek strumyków . .

DANUTA WYRYBKOWSKA

MARJAN BRONISŁAWSKI

31)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Sogan już wciągał na siebie stary swój mundur policyjny.

— Ale chwileczkę, panie Sogan — powstrzymał go Karol Winters — trzeba koniecznie, żeby pan ubrał się w cywilne ubranie. Jednego z morderców mam w pokoju w hotelu, gdzie się tymczasowo zatrzymałem i spodziewam się, że wydobędziemy od niego potrzebne zeznania. Gdyby zobaczył pana w mundurze policyjnym, nie dałby się ciągnąć za język, sam pan to przyzna...

— Racja, zupełna racja. Ubiorę się więc w jedyny mój garnitur, ten właśnie, który ma mi służyć na wesele Stefka. Siadajcie panowie, na czem kto może, a ja za kilka minut będę gotów jechać z wami. Po drodze opowiecie mi szczegółowo całą sprawę.

Wszedł do przyległego pokoiku, który służył mu za garderobę i sypialnię, skąd po chwili poczęły dochodzić uszu czekających odgłosy wysuwania szuflad i szurgot pospiesznie wkładanych trzewików. Potem nastąpiła chwila ciszy, przerwana głośnem przekleństwem:

— A niech to najjaśniejszy piorun trzaśnie! Stefan, chodź tu do mnie, pomożesz mi zapiąć ten przeklęty kołnierzyk. We drzwiach stanął Sogan z rozczerwienioną twarzą, mordujący się z upartą spinką od kołnierzyka.

— Żeby z piekła nie wyjrzał, kto wynalazł te obroże! — złościł się policjant, pochylając się w ten sposób, żeby Stefan mógł zapiąć kołnierzyk.

Ostatecznie udało się Stefanowi ustroić Sogana w kołnierzyk i krawat, poczem wszyscy czterej wyszli z domu, by wsiąść do samochodu Sogana i jechać na miejsce.

Ożywiony ruch panował już na ulicach miasta, gdy samochód wiozący ich stanął opodal hotelu, w którym Karol miał wynajęty pokój. Po drodze opowiedział Soganowi wszystkie szczegóły o Poterze i umówił się, że on pójdzie do hotelu pierwszy, a oni mają przyjść tam dopiero za kilkanaście minut, gdy ujrzą go otwierającego okno wychodzące na ulicę, gdzie stanął ich samochód.

Nie wysiedli tedy z maszyny, tylko rozmawiali dalej we trzech, podczas, gdy Karol Winters obszedł narożnik ulicy i wszedł do hotelu. Nie zatrzymując się na dole, pobiegł prosto na drugie piętro, gdzie znajdował się jego pokój i wkrótce stanął przed drzwiami.

Chwilkę nasłuchiwał, trzymając ucho przy samych drzwiach. W pokoju panowała zupełna cisza. Zdziwiło go to cokolwiek, był bowiem przygotowany na odgłosy chrapania pijaka. Zaniepokojony, wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i szybko wszedł do wnętrza.

W pokoju nie było nikogo.

Na stole leżała przewrócona butelka od wódki i kilka niedopałków papierosów, jako jedyni świadkowie, że w tym pokoju był kilka godzin temu Ben Poter.

— Uciekł! — mruknął Winters, przygryzając wargi. — Widocznie nie zamknąłem dobrze drzwi, ptaszek obudził się i poszedł sobie najspokojniej. Napróżno pobudziłem Burskiego i Stefana i przyciągnąłem ich tu razem z Soganem. Wszystko napróżno.

Okazało się, że Winters zamknął drzwi na klucz od strony korytarza, nie przypuszczając, że zamek był tylko zwykłym zatrzaskiem, zamykającym się na klucz od zewnątrz, podczas, gdy od strony pokoju wystarczyło obrócenie klamki, by drzwi się otworzyły.

Wyszedł z pokoju i udał się do czekających w samochodzie, by opowiedzieć im, że wszystko na nic, gdyż Poter ulotnił się z hotelu.

— Ha — odezwał się Sogan, kiwając głową — sprytniejszy widocznie, niż się zdawało. Spostrzegł, że niepotrzebnie wygadał się, wytrzeźwiał odrazu i teraz będzie milczał jak grób. Głupia sprawa...

Na twarzy Wintersa odbiło się szczere zmartwienie.

— Szkoda — powiedział ponuro. — umiałem skorzystać ze sposobności, jaka może się więcej nie trafić. Trudno, muszę próbować na nowo.

Chciał zaraz iść do salonu Gerbera, ale powstrzymał go od tego Sogan, mający więcej doświadczenia i znajomości postępowania z bandytami.

— To na nic — rzekł. — Niech pan się porządnie wyśpi, bo widzę po pańskiej twarzy, że nie spał pan wcale, a ja postaram się dostać do tego pana przez moje znajomości w tych kołach. Gwałtem nic z niego nie wydobędzie, trzeba znów użyć podstępu. Według tego, co pan opowiedział niema najmniejszej wątpliwości, że on razem z Gerberem zamordowali pańskiego brata, a nakłonił ich do napadu Harden. Niech więc pan poczeka ze dwa dni, a ja się tem zajmę.

Winters zgodził się na propozycję Sogana. Zabrał z hotelu walizkę i udał się z Burskim do Brooklyna z zamiarem pozostania u Burskiego do czasu, kiedy Sogan zawiadomi ich o wyniku swoich usiłowań.

Sogan, pożegnawszy Burskiego i Wintersa, którzy pojechali taksówką do domu, po chwilowym namyśle pojechał zwolna w stronę, gdzie mieściła się stacja policji tej dzielnicy, w której znajdowała się spelunka Gerbera. Przypomniał sobie, że na tym właśnie posterunku pełni służbę jeden z jego dawniejszych kolegów, Irlandczyk, jak on sam człowiek uczciwy i nie maczający rąk w brudnych sprawach przedajnej służby bezpieczeństwa.

Do niego postanowił zwrócić się z prośbą o pomoc w wyszukaniu Bena Potera, spodziewając się, że policjant, który od dłuższego czasu pełnił służbę w tej dzielnicy, łatwo będzie mógł dać mu potrzebne wskazówki.

Przypadek zdarzył, że znajomy Sogana właśnie wychodził z budynku policji po oddaniu służby w ręce innego i zmierzał w stronę swego mieszkania. Poznał go Sogan natychmiast. Zatrzymał samochód, wyskoczył szybko i podszedłszy z tyłu do idącego, uderzył go silnie po ramieniu.



Na międzynarodowym konkursie śpiewaczym w Wiedniu, w którym wzięło udział 250 śpiewaków, 3 nagrodę uzyskała śpiewaczka polska p. Walerja Jędrzejewska ze Lwowa, którą widzimy na naszem zdjęciu.

— Jak się masz, Pat! — krzyknął wyciągając rękę na powitanie.

Zaczepiony, nie poznając w pierwszej chwili Sogana w cywilnem ubraniu, żachnął się gniewnie i już otworzył usta, by zwymyślać napastnika, gdy Sogan nie dawał mu przyjść do słowa, mówiąc:

— Cóż to, tak ci się dobrze powodzi, że już nawet starego Sogana nie poznajesz?

— A bodajże cię licho wzięło — odpowiedział śmiejąc się już policjant. — Któżby cię mógł poznać tak wystrojonego? Jak się masz, stary! I skąd się tu wziąłeś w moim rewirze, do tego jeszcze po cywilnemu.

— Doskonale, że cię spotkałem — odparł Sogan. — Widzę, że wracasz ze służby, to i masz trochę czasu. Może wejdziemy gdzie na chwilę. Chciałem właśnie z tobą pogadać.

— Chodź do mnie. Niedaleko mieszkam. Zjemy razem śniadanie i powiesz mi o co ci chodzi.

Za kilka minut znaleźli się w mieszkaniu Pata, który jako stary kawaler odnajmował dwa pokoje od jednego z żonatych kolegów z policji. Wpuściwszy Sogana do pokoju, Pat polecił gospodyni, by przygotowała śniadanie na dwie osoby i powrócił do gościa.

— Zaraz dostaniemy coś do zjedzenia — rzekł, otwierając małą skrzynkę, stojącą pod łóżkiem. — A przed śniadaniem kropniemy sobie po jednym.

Wyjął butelkę kanadyjskiej wódki, nalał dwie spore lampki, a resztę schował troskliwie do skrzynki.

Wypiwszy wódkę, zjedli śniadanie, przyniesione właśnie przez gospody-

nię domu, i zapalili długie, cienkie cygara podrzędnej jakości, których Sogan, jak zwykle miał spory zapas w kieszeni.

— Tak — rzekł Pat, odsapując głośno. — Teraz człowiek lepiej się czuje. Bardzo rad jestem, że mogłem cię ugościć w mojej kawalerskiej dziurze. Ale chciałbym się dowiedzieć, co cię tu właściwie sprowadziło? Wiem, że bez ważnego interesu nie ruszyłbyś się z domu... No, gadaj stary!

— Hm... sprawę mam rzeczywiście — odparł Sogan, puszczając olbrzymi kłąb dymu. — Chciałbym dowiedzieć się bliższych szczegółów o niejakim Benie Poterze. O ile wiem, jest on jednym z pomocników waszego słynnego Gerbera.

— Ben Poter? Czekajno... Aha... już wiem. To „Kid". Zwykły bandyta i pijak nałogowy. Chłop ogromnego wzrostu i siłacz. Czegóż chciałeś od niego?

— Mam silne podejrzenie, że ów Kid, jak go nazywasz, jest mordercą, albo jednym z morderców Piotra Wintersa. Pamiętasz tę sprawę?

— Przypominam sobie.

— Czy nie mógłbyś go aresztować? pod jakimkolwiek pozorem, aby tylko był zamknięty na jakiś czas.

— Nie, bracie. Wymagasz ode mnie za wiele. Kid znajduje się pod opieką Gerbera, a ten łotr jest w najlepszych stosunkach z naszym kapitanem. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Począwszy od kapitana, wszyscy policjanci są stale opłacani przez Gerbera i na sprawki jego patrzą przez palce. Ja jeden nie pobieram drugiej pensji od bandyty i dlatego radziby mnie stąd wygryźć. Choćbym nawet aresztował tego ptaka, nie zamknęliby go wcale. Zaraz znajdzie się kaucja, aresztowanego wypuszczą, a ja mogę dostać kulką w łeb podczas pełnienia nocnej służby na ulicy. Musisz przecież wiedzieć, że w tej dzielnicy już kilku policjantów padło od kul bandytów.

— Ładne rzeczy — mruknął Sogan. — Więc do tego już u was doszło, że boicie się aresztować zbrodniarza, podejrzanego o morderstwo?

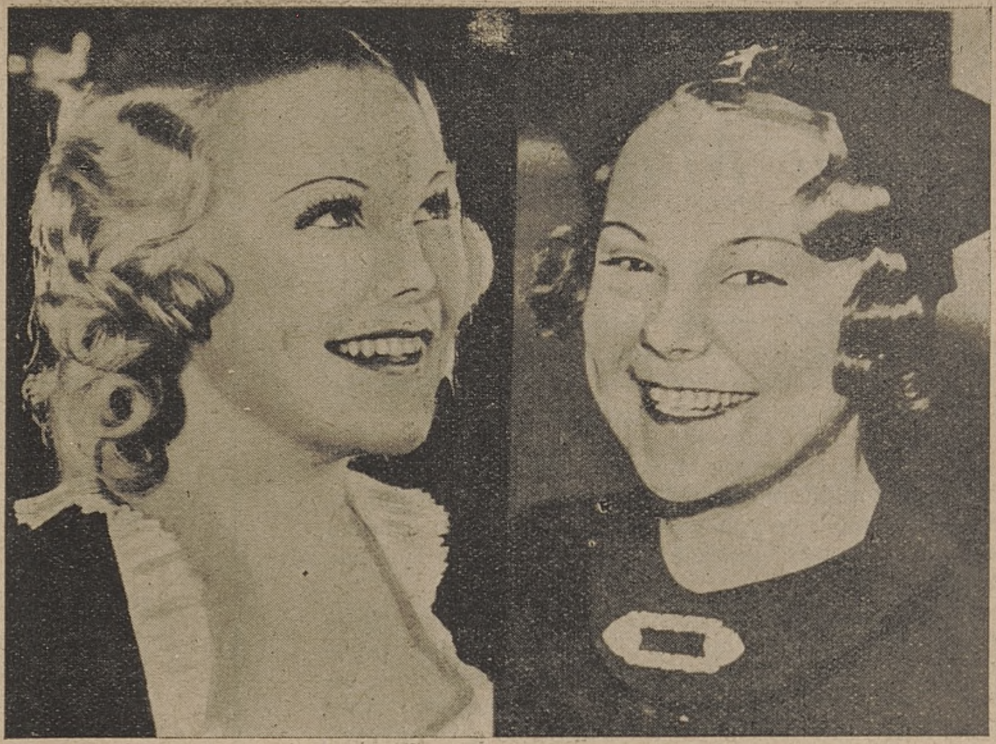
— Tak wygląda — odpowiedział Pat z rezygnacją. — Jeżeli tak dalej pójdzie, to za jakiś czas nie będzie ani jednego uczciwego człowieka w policji.

— Ładnych czasów doczekaliśmy się, Pat — odpowiedział Sogan. — Więc powiadasz, że nie możesz postarać się o to, by Poter znalazł się w klatce?

— Nie, bo nie chcę narażać się na prześladowanie ze strony Gerbera, a raczej mojej władzy. Pragnę posłużyć jeszcze do końca roku i zupełnie usunąć się z policji. Toż mi życie miłe...

— Ha, trudno. W takim razie będę musiał szukać innego sposobu na Potera. Może inną drogą dostanę go w ręce.

Pożegnał Pata i wyszedł na ulicę, rozmyślając głęboko o potędze butlegierów, którzy tak skutecznie potrafili opanować policję i władze miejskie. Zawiedziony w nadziei, że stary znajomy pomoże mu do wydobycia zeznań z Potera, postanowił na własną rękę spotkać się z bandytą.



Światowej sławy „czarodziejka tafli lodowej", Sonja Henie, została zaangażowana do filmu i przebywa obecnie w Hollywood. Na zdjęciu widzimy Sonję (z prawej) z okresu sportowych triumfów i (z lewej) już jako adeptkę sztuki filmowej.

Krwawy szał mordercy

Ben Poter obudził się w niespełna godzinę po wyjściu Karola Wintersa z hotelu. Nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje, chwilę siedział na łóżku i usiłował zebrać myśli. Wolno i niedokładnie pracował odurzony oparami alkoholu mózg bandyty. Przesuwały mu się przez głowę straszne, krwawe obrazy. Ujrzał w wyobraźni leżącego na ziemi Wintersa i ohydną ranę na czaszce zamordowanego. To znów widział bezczelnie uśmiechniętego Gerbera, podającego mu owe tysiąc dolarów, jako jego udział w podziale łupem.

W pokoju było jeszcze ciemno. Zwlókł się powoli z posłania i omackiem dotarł do drzwi. Przeciągnął ręką po ścianie i namacał łącznik elektryczny. Nacisnął guziczek i jaskrawe światło żarówki oblało blaskiem cały pokój.

Zdziwił się, że w pokoju, oprócz niego, nie było nikogo. Na stole stała opróżniona do połowy butelka z wódką.

Chwiejnym krokiem doszedł do stołu, ujął flaszkę i przechylił ją do ust. Rozległo się ciche bulgotanie i po chwili butelka wypadła mu z ręki, z głośnym stukiem tocząc się po stole.

Usiadł na fotelu przy stole i przysłonił oczy ręką. Zdawał się usypiać, gdy nagle zerwał się z głośnem przekleństwem. W chorej wyobraźni zamajaczyło mu wielkie, ohydne krzesło o dziwnem oparciu i poręczach, z których zwieszały się jakieś paski z sprzączkami. Ujrzał się siedzącym w tem krześle, a obok niego kilku ludzi w ubraniach strażników więziennych. O kilka kroków przed krzesłem stała grupa ludzi. Jeden z nich czytał coś z wielkiego arkusza papieru, drobno zapisanego i zaopatrzonego jakiemiś czerwonemi pieczęciami.

— To krzesło elektryczne — szepnął — i ja w niem siedzę. A tam stoi prokurator i sędzia. Za chwilę przywiążą mnie i puszczą prąd...

Przez olbrzymie ciało pijaka przeszedł zimny dreszcz. Nieopisany strach chwycił go za gardło i oddech zatamował. Zimne krople potu poczęły spływać po czole, zęby szczękały jak w febrze.

Na chorym mózgu rysowały się coraz dziksze, straszniejsze obrazy. Zdawało mu się, że wśród grupy urzędników, stojących w komnacie śmierci, widzi Gerbera i Hardena z szyderczo uśmiechniętemi twarzami, zajętych poufałą rozmową z prokuratorem.

Po chwili widzenie rozwiało się, ustępując miejsca zupełnej ciemności i jakiemuś przykremu łomotowi w mózgu. Na skronie wystąpiły mu grube żyły, drgające szybkiem tętnem wzburzonej krwi. Otworzył oczy, wstrząsnął się i matowym wzrokiem spojrzał dokoła siebie.

W pokoju panowała niczem niezmącona cisza. Przez zamknięte okna dochodził tylko oddalony, ledwie dosłyszalny odgłos rzadko przejeżdżających samochodów.

Poter powstał ciężko, otarł pot z czoła i włożywszy czapkę na głowę, skierował się ku drzwiom. Odsunął zatrzask lichego zamka i wysunął się na słabo oświetlony korytarz. Nie ujrzał nikogo. Wolnym, chwiejnym krokiem zszedł ze schodów, zasłanych starym, mocno zniszczonym chodnikiem, przeszedł niespostrzeżony obok pogrążonego w drzemce nocnego portjera i znalazł się na ulicy. Szedł powoli w stronę knajpy Gerbera.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

— Do wschodu słońca głowa Dżafara ma leżeć pod moim progiem! A jeżeli nie zrobicie tego, to do następnego dnia koło moich drzwi będą już trzy głowy leżały, zamiast jednej.

— I? — cicho zapytała Mar-Molli.

— I głowa Dżafara była o oznaczonym czasie na oznaczonem miejscu. Widziałem ją... Później widziałem dużo ściętych głów i sam niemało ściąłem, ale ta pierwsza pozostała w mojej pamięci nazawsze...

Mar-Molli szukała odosobnienia z Ammalatem, zwierzała się przed nim ze wszystkiem, jak przed nikim więcej, ale zawsze milczała o tragicznem samobójstwie księcia Lobkowicza i o swej roli, jaką odegra'a w fatalnem życiu austrjackiego arystokraty.

Jakoś nieznacznie tylko napomknęła;

— A po dwóch latach po śmierci ojca, przeżyłam jeszcze jeden wstrząs...

Zauważywszy, że zadużo powiedziała, Mar-Molli przeszła na inny temat.

13. „Szlachetny Senjor"

Gafani obserwował wypadki w Korduelli.

Barbasan objął władzę. Kosztowało go to dziesięć miljonów pezo, zrabowanych w bankach „dla dobra narodu" (po ogłoszeniu się dyktatorem).

Część miljonów stopnia'a w kieszeniach tych, którzy brali udział w przewrocie po stronie Barbasana, lwia część zaś przypadła w udziale dowódcom różnych półwojskowych organizacyj, noszących groźną nazwę „guerillasów śmierci" i składających się z uzbrojonych szumowin. Bandy te uzbrojone od głów do nóg, i dlatego groźne, czyniły gwałty i nadużycia.

Na tych właśnie „guerillasach śmierci" opierał swoją władzę Barbasan, pokrewny im duchem.

Armja regularna, a zwłaszcza kawalerja, dlatego tylko nie przeszkodziła Barbasanowi zasiąść w pałacu prezydenta, że przewrót, dokonany szybko i zręcznie, zaskoczył wojsko.

Zaczęła się „czystka".

W ministerstwach, poselstwach, na czele pułków i dywizyj, słowem wszędzie Barbasan umieszczał swoich ludzi, usuwając z gorączkowym pośpiechem zwolenników prezydenta, zabitego przez jednego z „guerillasów śmierci" podczas przewrotu.

W korduelskiem poselstwie w Mursji Barbasan również dokonał „czystki" w 48-u godzinach.

Korduelskie poselstwo mieściło się w dużej willi na brzegu morza na peryferjach stolicy. palmowy park poselstwa ciągnął się aż do wybrzeża, gdzie znajdowały się łazienki i elegancka przystań.

Motorowy jacht, na którym powiewała biało-zielono-pomarańczowa bandera, był zawsze do usług posła i attache wojskowego.

Po zjedzeniu obiadu w obozie, udał się do miasta.

Tam skierował swoje kroki Gafani. Początkowo celem dokonania wywiadu.

Szoferowi kazał czekać ko'o kawiarni „Nationale". Sam zaś udał się w dalszą drogę taksówką. W pewnej odległości od poselstwa, odprawił taksówkę i zbliżył się do wysokiego, żelaznego ogrodzenia willi.

Nad wejściem, na długim maszcie łopotał w ciepłym wietrzyku biało-zielono-pomarańczowy sztandar.

Gafani szedł tak głęboko zamyślony o swoim rywalu, że nie zauważył nawet dwóch tęgich wąsali, którzy wyrośli przed nim, jak z pod ziemi.

— On!? — krzyknął pierwszy.

— On! — potwierdził drugi.

Chwycili Gafaniego za ręce i tak mocno go trzymali, że Gafani, silny przecież człowiek, nie mógł się nawet ruszyć, będąc całkowicie w ich mocy.

— Jakiem prawem? Coście za jedni? Na obcem terytorjum! — zaprotestował Gafani. — proszę mnie puścić natychmiast... Zrozumiano!

— Powoli, łaskawy panie! Już kilka dni polujemy na pana Chanie Mugajski! Ale w centrum miasta nie mieliśmy wolnej ręki...

— Ja jestem takim samym Chanem Muganskim, jak wy jesteście chińskimi mandarynami. To prawda że jestem do niego podobny...

— Doskonale!... Opowiadaj!... — zaczęli per „ty". — A tymczasem my ciebie odprowadzimy do poselstwa, a tam już niech dochodzą...

— Do poselstwa? Tego tylko chcia'em! A kto jest waszym nowym posłem?

— Jego ekscelencja, szlachetny Senjor Eskobedo.

— Eskobedo?... Eskobedo?... — majaczyło w pamięci Gafaniego.

W międzyczasie dwaj osobnicy wepchnęli go przez furtkę.

— A teraz jesteśmy na własnem terytorjum!

Wszyscy mieszkańcy willi stanęli na nogach. Powstało zamieszanie. Ba! złowiono „takiego" zbiega! Tak znienawidzonego przez dyktatora!

Jego ekscelencja, szlachetny senjor Eskobedo, palący metys z podwójną brodą, kończył kolację w zupełnej samotności. On uważał, że zapraszanie sekretarzy do stołu nie przystoi jego „ministerjalnej" godności...

Na wiadomość o aresztowaniu Chana Mugańskiego, omal nie zadławił się pestką z kompotu. Wykrztusiwszy ją na talerz, wpadł do gabinetu, gdzie stał więzień w asyście dwóch agentów, mających rewolwery w rękach.

— Zrewidowaliście go? Nie ma broni?

— Miał rewolwer, ale teraz ja go mam, nie on! — zameldował, stając na baczność, jeden z agentów.

To uspokoiło Eskobedę.

Teraz można znęcać się nad drogocenną zdobyczą.

— Jestem zachwycony, Wasza Wysokości, jestem zachwycony... Nie spodziewa em się takiego zaszczytu! Sam się pan pofatygował do mnie...

— Wasza ekscelencjo, najkategoryczniej protestuję! Wcale nie jestem Chanem Mugańskim!

— Co za bezczelność!... Odważa się jeszcze mnie bujać! Poznałem pana od pierwszego wejrzenia! Wreszcie — proszę! — Wziął z biurka fotografję. — Coprawda jest pan tu w mundurze, ale podobieństwo — podobieństwem!

— Panie ministrze, racz pan porównać, aby uniknąć fatalnej pomyłki: budowa czaszki Chana Mugańskiego różni się od mojej. A uszy!? U niego małe, przyciśnięte, u mnie znacznie większe i odstające. Oczy? U niego wąskie, bardziej azjatyckie. I wreszcie ja jestem tęższy i wyższy...

— Tak, tak... możliwe, możliwe... — powoli miękł Ekskobedo, przenosząc wzrok z fotografji na Gafaniego i odwrotnie.

— Mam nadzieję, że przekonałem waszą ekscelencję — tryumfował awanturnik, zyskując na humorze.

— Prawie... Gotów jestem uwierzyć, że pan nie jest Chanem Mugańskim... Gotów jestem uwierzyć... Ale w takim razie kim pan jest, u licha, i poco się pan kręcił koło naszego poselstwa!? W jakim celu? Może pan szpiegował? My nie robimy ceremonji ze szpiegami, i z panem też nie będziemy się bawić! —

— Ekskobedo pogroził bronzowym palcem z ogromnym brylantem, przyczem minę miał groźną.

— Wasza ekscelencjo, — kontynuował Gafani, nie tracąc rezonu, — wyjaśnię wszystko jak najdokładniej, ale pod warunkiem, że pozostaniemy sami. To leży w pana własnym interesie, w interesie bezpie-

czeństwa Korduel i oraz w interesie wysoce czcigodnego dyktatora generała Barbasana!

Wszystko to niezmiernie zaintrygowało posła.

Eskobedo przeszył Gafaniego przenikliwem spojrzeniem.

Gafani wytrzymał to spojrzenie.

Dostojnym ruchem ręki poseł odprawił agentów do sąsiedniej poczekalni.

— Niech pan siada i mówi!...

Usiedli, wpatrując się w siebie.

I prawie jednocześnie zaczęli:

— Wasza ekscelencjo, zdaje mi się, że miałem zaszczyt spotkać się już gdzieś z panem...

— Tak jest! I mnie wydaje się twarz pana znajomą, poza podobieństwem z Chanem Mugańskim...

Eskobedo wytężył swoją pamięć wzrokową i myślową.

— Zaraz! zaraz!... przecież to pan!... Bezwarunkowo pan!... Pamiętam w Szanghaju... Tak! Znalazłem!... Pan nazywał się wówczas baronem von Pinelli...

— To moje prawdziwe nazwisko...

— I... pan był uważany za pierwszego kolportera fałszywych dolarów meksykańskich... Niech pan spróbuje twierdzić, że nie było tak, że ja się mylę?!...

— Właśnie omylił się pan, ministrze! A może przez skromność wywyższa mnie pan na rachunek własnego poniżenia?... Tak jest, byłem kolporterem meksykańskich dolarów, ale po panu, ministrze, wówczas, gdy raczył pan być generalnym konsulem Korduel i w Szanghaju...

Eskobedo wcale się nie rozgniewał, przeciwnie, znacząco mrugnął okiem, jak wspólnik do wspólnika.

Opamiętawszy się jednak, że jest posłem, „szlachetny“ senjor przyjął odpowiednią pozę.

— Jak się pan teraz nazywa i jakie jest pana zajęcie?

— Mój pseudonim — Gafani. Po występach w Szanghaju nie mogłem pozostać baronem von Pinelli. Czem się zajmuje? Jestem aktorem wielkiej paryskiej wytwórni filmowej.

— Patrzcie! Pojawił się talent artystyczny...

— Nie tyle artystyczny, ile kawaleryjski. Dyrekcja jest zachwycona moją elegancką postawą na koniu i śmiałemi wyczynami. I nie tylko dyrekcja!... Gdy byłem jednorocznjakiem w dziewiątym pułku Karola Stefana, zwrócił na mnie uwagę sam cesarz Franciszek Józef podczas manewrów pod Czerniowcami, gdy brałem udział w uroczystej defiladzie naszych ułanów. Zapytał później dowódcę pułku: „Kto jest ten jednoroczny, który jak laleczka siedzi na koniu?“ — „Baron von Pinelli, Wasza Cesarska Mości!“ — z dumą odpowiedział pułkownik. Niech się pan przygotuje, Eskobedo, wkrótce będzie wyświetlany film, w którym demonstruję nadzwyczajny numer: we wściekłym galopie wyrywam, zakopanego w piasku po samą brodę człowieka, i rzucam go sobie na siodło. Coprawda, on trzyma ręce nad głowa...

— Niemożliwe! — wyraził wątpliwość Eskobedo — nawet taki słynny jeździec, jak Chan Mugański, nie wiem, czyby się zdobył na coś podobnego...

— Wydmuchana wielkość ten wasz Chan Mugański! — z pogardą odpowiedział Gafani — ale ale, właśnie to było celem mojego wywiadu, tak głupio przerwanego przez pańskich drabów: czy chciałby pan otrzymać z rąk do rąk Chana Mugańskiego? jeszcze ciepłutkiego?...

— Pan drwi sobie ze mnie! — skoczył Eskobedo.

— Miałbym odwagę drwić sobie z ministra Korduel i, będąc na jej terytorium, i mając za swojemi plecami przez drzwi dwóch potężnych drabów z trzema rewolwerami, z których trzeci należy do mnie i o zwrot którego proszę...

— Pan ma rację, Gafani... Ale jestem tak zaskoczony... Gdzież on się znajduje? — zapalił się metys.

— O, to moja tajemnica! Przytem tajemnica droga. Głowa Chana Mugańskiego drogo kosztuje...

— Jak dla kogo... Komu jest potrzebna głowa chana?

— Komu?! Barbasanowi!! Pan sam o tem dobrze wie! Za żywego chana Barbasan dałby... dałby... — obliczał Gafani — jakie pięćset tysięcy pezo...

— Nigdy! — krzyknął Eskobedo.

— W takim razie, pozwoli pan, że pożegnam...

— Dokądże pan!...

— Wprost do generała Gomeza, ministra spraw wojskowych Mursji, mojego wielkiego przyjaciela. Za proponuję mu usługi Chana Mugańskiego w dziedzinie reorganizacji kawalerji. Zapewniam pana, że za pół roku Mursja taksamo rozpróży Korduelczyków, jak dwadzieścia cztery miesiące temu Korduela rozbiła Mursję. To będzie was kosztowało drożej, aniżeli pięćset tysięcy. Bardzo mi było przyjemnie pana spotkać! Wszelkiej pomyślności!...

— Poczekaj pan! Dokądże to?...

— Mówiłem już — do mojego przyjaciela Gomeza.

— Daj pan spokój ze sprzedawaniem Chana Gomezowi, sprzedaj go pan nam lepiej!

— Od tego właśnie trzeba było zaczynać! Ekskobedo, pan jest mądry, ja jestem mądrzejszy, pan jest przebiegły, ja jeszcze bardziej! Za żywego chana Barbasan obdarzy pana największemi godnościami, ozłoci! Zrobi pana największą przy sobie figurą... Posłem w Paryżu!

— Och, Paryż, Paryż! To moje marzenie! — westchnął Ekskobedo, przewracając oczyma.

— Widzi pan! Gwoli zrealizowania tego marzenia wykładaj pan pieniądze... Pięćset tysięcy pezo.

— Jakto! nie widząc towaru?!

— Najpierw zaliczka — połowa sumy! W chwili

— A jednak, czy nie można obniżyć ceny? dostarczenia „towaru“ — druga połowa.

— Niech się pan nie targuje! Przecież ja wiem, że pan zażąda od Barbasana przynajmniej miljon pezo.

— Każdy chce żyć! — mrugnął okiem Eskobedo

— Dlatego też daj pan żyć i innym. Spieszę się, przyjacielu, kończmy!... A myśmy jeszcze nie zaczynali nawet... Zaliczka! Pokaż pan, jak wyglądają wasze pieniądze.

— Zaraz, zaraz... Ale jak będzie z przewiezieniem chana najpierw tu do konsulatu, a później do Korduel i?...

— Niech pan sobie głowy nad tem nie łamie. To już moja sprawa. Wszystko rozważyłem i uplanowałem... Pana rzecz — wypłacić mi pieniądze!

„Szlachetny“ senjor podszedł do kasy ogniotrwałej i obejrzał się:

— Wypłacę panu dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a pan niech mi potwierdzi odbiór pięciuset tysięcy. Taksamo będzie i z drugą połową. Zgoda?

— Proszę bardzo... Każdy chce żyć!...

14. Gafani opracowuje plan

Stojąc już przy otwartej kasie, Eskobedo zastanowił się chwilkę i znowu zwrócił się do Gafaniego z zapytaniem:

— A może wypłacić panu czekiem?

— Nie! ja wolę gotówkę.

— Jakto... pan mi nie dowierza? Mnie, ministrowi Korduel i?

— Wierzę ministrowi Korduel i, ale nie wierzę byłemu konsulowi generalnemu w Szanghaju...

Eskobedo odliczył dwadzieścia pięć zeszycików. Każdy zawierał dziesięć banknotów po tysiąc pezo, spiętych szpilką.

Gafani najpierw powtykał ten skarb do kieszeni, a potem pokwitował odbiór pięciuset tysięcy.

— Kiedyż pan dostarczy Chana Mugańskiego?

— W tych dniach...

— A dlaczego nie jutro?

— Dlatego, że to nie kilo cukru, a mężczyzna. I jeszcze jaki mężczyzna... A zresztą, czy ja mam przed panem reklamować Chana Mugańskiego? .

— Tak, tak, to nie kilo cukru... Pan jest dowcipny... A więc — w tych dniach? Słowo?

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

100

„Zdaje mi się, że widziałem pana już częściej wtedy, jak pan byłeś jeszcze akademikiem, teraz pan zapewne tutaj urząd swój objął?“

„Nie ja mieszkam w Berlinie,“ odpowiedział młody mężczyzna, „przyjechałem tutaj tylko w odwiedziny, — na Zielone Święta.“

„Tylko dlatego?“ zawołał bankier, śmiejąc się wesoło i klepiąc młodego przystojnego mężczyznę po barkach. „Czekaj, ja cię zdradzę przed panem hrabią, co cię właściwie do nas sprowadziło.“

Kurt zaczerwienił się jak młoda panienka, stary Hartman zaś ciągnął dalej:

„Pan hrabia musi się dowiedzieć, że wielka uciecha czeka nas, mój syn ma zamiar się zaręczyć!“

„Ach, tak, już naprzód gratuluję mu wyboru,“ zawołał Kazimierz, „proszę również gratulować odemnie narzeczonej.“

„Narzeczonej“? przerwał mu prędko Kurt, „ależ ona nie przeczuwa nawet, że ma zostać moją narzeczoną.“

„To bardzo romantyczna historja,“ wpadł mu w mowę stary Hartman, cofając się do drzwi, aby służba nie posłyszała przypadkiem, — „muszę panu hrabiemu w krótkości opowiedzieć:

„W Berlinie spotkał mój syn biedną dziewczynę. — którą poznał był już jako student i której miał szczęście wielką przysługę wyrządzić. Ocalił jej mianowicie życie. W lesie była prześladowana od złych, nienawistnych ludzi, którzy chcieli ją porwać i uwieść widocznie. W trwodze swojej przebiegłszy do rzeki błagała mego syna, który niedaleko wiosłował czółnem, aby ją ocalił. Nie namyślając się ani chwili przybił do brzegu, zabrał do łódki i — uratował.

„W takim razie“, odezwał się hrabia, „panna ta zobowiązana jest do wielkiej wdzięczności względem pańskiego syna. Nie potrzebuję dodawać, że węzły wdzięczności zazwyczaj przemieniają się z czasem na węzły miłości.“

„Ale najdziwniejsze w tej całej historji jeszcze nie opowiedziane“, odezwał się Antoni Fryderyk Hartman, ciągnąc dalej swoje opowiadanie. „Kurt i ta panienka nie widzieli się długi, bardzo długi czas, stracili się zupełnie z oczu, aż dopiero pewnego pięknego dnia Kurt poraz wtóry miał sposobność tak długo niewidzianemu dziewczęciu uratować życie.

„Jako członek stowarzyszenia dobroczynnego kobiet musiała odwiedzić jedną biedną kobietę, która jednak oddawała się nałogowi pijaństwa. Panna ta po skończonych odwiedzinach chciała właśnie wyjść, kiedy kobieta stara widocznie w delirium tremens rzuciła się jak opętana na nią, poczęła ją dusić, schwyciła ogromną siekierę i koniecznie chciała ją zabić.

„Kurt przechodził właśnie koło drzwi mieszkania tej kobiety i słysząc wołanie o pomoc, wtargnął do środka w ostatniej chwili, bo warjatka już, już chciała roztrzaskać głowę swej ofierze.“

„Ha, — to dopiero palec opatrzności, — no widocznie syn pański pojął go i zrozumiał“, odezwał się hrabia Kazimierz, klaskając zlekka w ręce.

„Nieprawdaż, panie hrabio?“ zawołał Kurt z rozpromienioną od radości twarzą. „Ja także tak sobie to wyłożyłem i wytłumaczyłem. Już pierwszy raz, kiedym ją zobaczył, podobała mi się bardzo i nieraz wspominałem ją sobie. Po raz drugi zawarłem z nią bliższą znajomość, począłem ją cenić, szanować i kochać. Mam do zawdzięczenia tylko memu poczciwemu ojczulkowi, jeżeli znajomość ta zamieni się w bliższe, mocniejsze więzy. Pomimo tego, że wybrana moja jest biedną dziewczyną, bez szczególnego imienia, ojczulek mój pozwala mi starać się o jej rękę. Właśnie udało nam się skłonić ją do odwiedzenia nas.

„Moja siostra Kanalja pisuje do niej już od dawna. W ostatnim liście zaprosiła ją na Zielone Święta do nas, no i po dłuższem wahaniu zgodziła się wreszcie. Dzisiaj wieczornym pociągiem przyjedzie. Naturalnie wyjdę po nią, a jutro oświadczę się jej, — ach, co to będą za szczęśliwe święta w naszym domu!“

„To prawda“, zawołał bankier, głaszcząc syna po włosach. „To już dawno było mojem życzeniem, żeby mi Kurt przyprowadził synową. Wprawdzie początkowo chciałem, żeby się tutaj ożenił z jaką bogatą albo przynajmniej ze znaczniejszego rodu panną, ale cóż robić, człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi. Zakochał się w tamtej — zresztą Bogu dzięki pracowałem całe życie i zebrałem dosyć grosza więc cudzego nie potrzebuję. To, że biedna jak święty turecki to nie hańba, najważniejsze, że czysta i bez skazy i że potrafi uszczęśliwić mego synka. Czy nieprawda, panie hrabio?“

„Śliczne zapatrywanie“, odparł Kazimierz, „pozwoli pan, że panu za tak piękne szlachetne idee uścisnę po przyjacielsku dłoń, panie Hartman.“

Zwracając się do młodego mężczyzny, spytał:

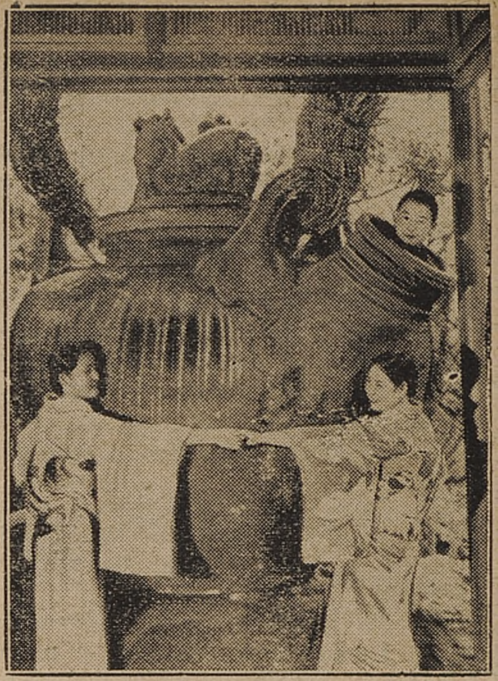
„A czy pan, panie asesorze, pewien wzajemności tej panny?“

Rumieniec powtórny zakwitł na przystojnej twarzy młodego Hartmana, głos drżał mu nieco, kiedy odpowiadał:

„Wprawdzie nie pytałem jej jeszcze, czy mi wzajemną i czy zechce zostać moją żoną, ale żyliśmy dotychczas tak po przyjacielsku, że uważałem to jako samo z siebie wynikające. Jest biedna i bez opieki, myślę, że tylko z radością pochwyci nadarzające jej się szczęście.“

„I co za szczęście!“ zawołał stary Hartman. „Proszę pana, panie hrabio, przecież tak głupia nie będzie, żeby odrzucać wyciągającą się do niej rękę, która potrafi jej zapewnić świetny byt, no i zresztą mój Kurt nie taki brzydki, aby się niepodobna było w nim zakochać!“

„Ależ naturalnie“, zawołał Kazimierz, który już począł żałować, że postawił



W pewnej podmiejskiej restauracyjce w Tokio, znajduje się olbrzymi czajnik, ważący 2.300 kilogramów. Czajnik ten wzbudza szczególne zainteresowanie wśród turystów.

młodemu asesorowi to pytanie, które mogło go dotknąć. „Nie wątpię w to ani chwili, a więc wiele szczęścia i moje najserdeczniejsze życzenia. Proszę wybaczyć, że już uciekam, ale muszę dzisiaj wieczór koniecznie wyjechać a mam jeszcze załatwić parę sprawunków, wyłożył na marmurową ladę.

„Jedzie pan hrabia do Anglji?“ spytał bankier, rzucając wzrokiem na rozłożone angielskie banknoty, które kasjer wyłożył był na marmurową ladę.

Kazimierzowi było nieprzyjemne to pytanie. Ale angielskie funty, które obecnie wkładał do pugilaresu, — zdradzały go aż zanadto, więc odpowiedział tylko krótko:

„Tak jest, jadę dzisiaj pospiesznym pociągiem do Londynu.“

Pożegnał się prędko z ojcem i synem, którzy go odprowadzili aż do drzwi, życząc mu szczęśliwej drogi, i udał się do hotelu.

Tam zastał już list od Elżutki. Na kartce napisała tylko parę słów:

„Mój przyjacielu, o dwunastej oczekuję pana na dworcu. Posłuszna nawet pańskiemu kaprysowi stawię się w męskiem ubraniu.“

CLXX.

Na dworcu kolei

„No, niedługo już zobaczysz moją wybraną. Poznasz, że nie mam złego smaku i że jestem dosyć wybrednym.“

Te słowa wypowiedział Kurt, jadąc ze swoją siostrą w eleganckim, otwartym powozik na dworzec kolei.

Konalja, wysmukła, ładna panienka, zwróciła swe piękne, rozumne oczy na brata, mówiąc:

„Szczerze powiedziawszy cieszę się, że poznam Anielcię; z jej listów do mnie poznałam, że mam do czynienia z nadzwyczaj subtelnie czującą kobietą. Jeżeli równie piękna, jak pięknie czuje i pisze, wówczas mogę ci tylko pogratulować, kochany braciszku. Cieszę się, że będę ją mogła uściskać jako moją siostrę.“

„Hm, żeby tylko", odparł Kurt z widocznym smutkiem, — niewiem, ale dzisiaj po południu dziwne jakieś myśli trapiły mnie."

„Czy nie wolno dowiedzieć się jakie?" spytała Kornelja. „Myślę, że przedemną nie miałeś dotychczas tajemnic i nie zechcesz mieć. Byliśmy przecież nietylko bratem i siostrą, ale najlepszymi, najszczerszymi przyjaciółmi."

„O tak, kochana Korneljo, dlatego nie ukrywam przed tobą. Trapi mnie mianowicie myśl ta, że Anielcia mogłaby odrzucić moją propozycję!

„Nie śmiej się, moja droga, wprawdzie byliśmy zawsze jak najlepszymi przyjaciółmi, przecież trzymała się zawsze tak zdala, że nie mogłem sobie pozwolić najmniejszej konfidencji."

„To cię dziwi, Kurcie?" spytała Kornelja z uśmiechem. „Właśnie gdyby przeciwnie było, nie byłaby mi tak sympatyczną. To czysta rezerwująca się natura, która dopiero pokaże się inną wobec narzeczonego. Zobaczysz, jak cię uściska, jak poprosisz o jej rękę."

Właśnie zajechał powóz przed dworzec. Rodzeństwo wysiadło i poszło do sali poczekalni pierwszej klasy.

Kiedy przechodzili koło jednego stołu, powstał z kąta jakiś mężczyzna, siedzący razem z przystojnym eleganckim młodzieńcem i skłonił się parze.

Był to hrabia Kazimierz z Elżutką.

Jak tylko hrabia usiadł, zaszeptał mu jego młodociany towarzysz do ucha:

„Boję się, że poznają mnie w przebraniu. To Kornelja Hartman, uczyłam ją sztuki malowania".

„To ona!" odpowiedział Kazimierz, „ale proszę się nie bać, Elżutko, w tem przebraniu nie pozna nikt pani. Ja sam na ulicy nie poznałbym pani. Bywała więc pani w domu Hartmanów?"

„Tak jest, uczyłam Kornelję malarstwa i zaprzyjaźniłam się nawet dosyć z nią."

„To bardzo zacne młode dziewczę — nieprawdaż?"

„Pod każdym względem zacna i szlachetna!"

„Opowiadała pani, że jej brat ma zamiar ożenić się?"

„Wspominała mi potroszę. Miał ją poznać w Berlinie, jeżeli się nie mylę, to oczekują jej teraz tutaj na dworcu."

„Tak jest. Ale jak w domu pani wszystko zarządziła?"

„Wszystko w najlepszym porządku! Stary Walenty będzie pielęgnował słabą, a na niego można się spuścić, że uczyni to sumiennie. Pieniędzy także dość mu zostawiłam, na jakiś czas więc zabezpieczony."

„Zabezpieczony na zawsze. Pani zapomina, że teraz ja jej zdejmuję ten obowiązek z barek."

W tej chwili otwarły się drzwi.

Portjer wstąpił do środka, oznajmiając przybycie pociągu pospiesznego z Berlina.

„To nasz pociąg", zawołał Kazimierz, „proszę pani, musimy wsiadać!"

Pakunków nie mieli wiele ze sobą. Wielki kufer ze rzeczami nadali już pierwej.

Przy wyjściu spotkali się powtórnie z Kurtem i Kornelją. Elza skryła się za plecami Kazimierza, by jej przypadkowo nie zobaczyła młoda bankierówna.





Niezwykle efektowne skoki dwóch zawodniczek, biorących udział w berlińskiej olimpjadzie.

„Dwa miejsca pierwszej klasy do granicy", zawołał Kazimierz do przechodzącego konduktora.

„Proszę naprzód się pofatygować! Mamy tylko jeden wóz pierwszej klasy."

Kazimierz i Elza podążyli we wskazanym kierunku. W chwili, gdy wsiadali, ujrzeli, jak Kurt podawał ramię wysiadającej damie.

Była ubrana w ciemną sukienkę, która jednak zdradzała młodociane kształty, ciemny welon zakrywał jej twarz.

„To zapewne ta młoda panna, z którą Kurt chce się żenić", zaszeptał Kazimierz do ucha Elżutki, „szkoda, że nie można widzieć jej twarzy, zdaje się być bardzo ładna."

Żeby Kazimierz przeczuł, co to za dama, która teraz razem z Kurtem przechodziła niedaleko od niego do poczekalni, - ha, - niebyłby się zastanawiał ani chwili, — rzuciłby się ku niej jak sęp na swą zdobycz, wyrwałby ją Kurtowi i zawołał:

„Tyś moja, — ja tylko mam prawo do ciebie i moją masz zostać aż do ostatniego tchnienia!"

Inaczej jednak widocznie zarządziła opatrzność Boska. Kazimierz nie przeczuł, nie poznał swej ukochanej.

Nie mogli się długo zajmować widzianą parą, bo musieli sobie miejsce zarezerwować, zresztą niedługo zabrzmiał sygnał, — powoli potoczył się żelazny olbrzym, unosząc ich do morza, które musieli przebyć okrętem, aby się dostać do kredowych skał Anglii.

CLXXI.

Bolesne przypomnienie.

Pierwszy dzień Zielonych Świąt zawitał. Rzadko tak śliczna pogoda przyświecała uroczystości.

Ślicznie wyglądał ogród bankiera Hartmana, który rozciągał się w tyle starego budynku. Różowe i białe kwiaty upiększały klomby. Białe konwalie, zielone krokusy i azalie stroiły świeżą zieleń trawy.

Starym zwyczajem, aby uczcić Święto, poszło wszystko do kościoła. Hartmanowie zabrali i swego gościa.

Lecz jakże dziwne uczucia przepełniały pierś dziewczęcia, kiedy się znalazła w pośrodku sklepienia świątyni. Czemuż nagle wśród podniosłych tonów organów załzawiły się jej śliczne oczy, czemuż z takim bólem zaciskała twarz rękami?

Nikt nie przeczuwał, jakie myśli, jakie wspomnienia na pół bolesne, na pół rzewne nurtowały w tej piersi dziewczej.

A zawsze tylko jeden obraz, jeden jedyny, stawał przed oczami ducha, ów tak silnie ukochany nie dający się niczem wyrwać ze serca obraz Kazimierza.

Stawał przed nią, nachylał się ku niej te same czarowne słowa, jakie wypowiadał przy pierwszem spotkaniu u skraju lasu, — to znowu znikł, rozpływał się w mgłę jak fantom, — ciemność nieprzenikniona roztaczała się wokoło.

Kurt, widząc jej smutek, chciał się ku niej nachylić i spytać o powód takowego, lecz Kornelja wstrzymała go lekkiem uściśnięciem ręki, szepcąc mu do ucha.

„Czyż nie wiesz, że biedactwo samo jedne na tej wielkiej ziemi, że niema ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa, — czyż to nie wystarczający powód do ronienia łez?" —

Po kościele czekał już na Hartmanów powóz. Kurt zaproponował mały spacer.

Cała trójka, to jest Kurt, Kornelja i Anielcia wyruszyła na wycieczkę, aby użyć słońca i przepięknej pogody. Kornelja poczęła tak mile i wesoło szczebiotać, że wkrótce udało jej się spędzić ostatnie chmurki z czoła Anielci.

Anielcia nie łatwo zdecydowała się na te odwiedziny. Przedewszystkiem trzymała ją na miejscu troska o małego Alfreda, że jednak jej gospodarze zgodzili się z chęcią zaopiekować się dzieckiem, a mogła się na nich spuścić, uległa namowom siostry Kurta.

I nie żałowała tego. Mała rezydencja budziła w niej wprawdzie nie wesołe wspomnienia, poznała jednak siostrę Kurta, lubą Kornelję, która wyrwała

na niej jak najkorzystniejsze wrażenie. Obie dziewczyny zaprzyjaźniły się w godzinie i długo w noc rozpowiadały sobie w swoim pokoiku najrozaitsze zdarzenia z życia.

Wygodnie oparta o poduszki powozu słuchała z przyjemnością sympatycznego głosu Kornelji.

„Teraz zdążamy do lasku pozamiejskiego“, ciągnęła dalej swoje opowiadanie młoda Hartmanówna. „cóż podoba ci się nasze miasteczko i okolica?“

„O bardzo,“ odparła Anielcia. „Znam ją już zdawna wprawdzie, ale tylko pobieżnie ją poznałam. Ta okolica tutaj także mi się przypomina, musiałem ją już kiedyś widzieć. A co to za ponure zabudowanie, to próżno stojące?“

„To paskudny dom,“ odpowiedziała Kornelja. „mieszkańcy tutejsi z odrazą spoglądają nań. Powinno się go było już dawno zburzyć. żeby znikł ten pomnik hańby. — To zabudowanie, w którem mieścił się pierwej zakład dla obłąkanych doktora Morizano.“

Anielcia zdładła i osunęła się na poduszki. Musiała zebrać całą swą energję żeby spytać powtórnie:

„Powiadasz, że mieścił się, więc teraz go niema więcej?“

„Nie“ odpowiedziała Kornelja, „bo na szczęście swoje doktor Morizano uciekł nocą z rezydencji. Policja, wtargnąwszy do środka, znalazła obłąkanych w takim stanie zaniedbania, że pióro wzdryga się coś podobnego opisać. Jeden okrzyk zgrozy i oburzenia podniósł się na niesumiennego lekarza.

Anielcia zagryzła wargi. Łzy cisnęły jej się do oczu, przemocą wstrzymała tylko okrzyk boleści. który chciał jej się wyrwać z piersi na widok tego strasznego budynku.

Przypomniała sobie te okropne dnie i noce, jakie spędziła w tych murach.

Wszystkie szczegóły, bohaterskie wtargnięcie Kazimierza w celu uwolnienia jej ze szponów tego szatana, pojmanie ich powtórne i uwięzienie, wszystko stanęło jej jasno w pamięci.

Lecz powóz toczył się dalej, nowe obrazy przesuwały się przed zamyślonem okiem.

Uroczy lasek rozpostarł się przed ich oczyma. Mimowoli szukała wzrokiem tego miejsca, gdzie po raz pierwszy w życiu spotkała się z Kazimierzem.

„Tak, to tam,“ wyszeptały drżące jej wargi.

Zdawało jej się, że nawet drzewa rozróżnia, w których cieniu siedzieli, że słyszy znowu z ust jego tę lubą nazwę nimfy leśnej.

Ach, co to za potężne uczucie pierwszej miłości — Jakiemi niezatartemi zgłoskami zapisuje się ono w sercu. Biedny ten. który zapomina na ten czas świetlany z podwójną siłą pulsującej młodości. Wspomnienie to ciągnie się niby nić czarowna przez cały przeciąg życia, nawet na ustach starca wywołuje jeszcze błogi uśmiech!

Minęli już dawno to miejsce, a Anielcia siedziała jeszcze zadumana, śniąc o dawno minionych chwilach szczęścia.

Kurt wytłumaczył sobie jej zadumę w zupełnie inny sposób.

„To ciekawe,“ przemówił, zwrócony do dam, „tutaj w lesie dziwne uczucia nas ogarniają. Właściwie powinniśmy się zatrzymać i pieszo skrajem lasu podążyć.“

Projekt ten spodobał się. Małe towarzystwo wysiadło i niedługo znikło w żywej rozmowie poza krzewami.

Kurt objął rolę przewodnika.

Z uśmiechem opowiadał im o minionych czasach, kiedy jeszcze jako chłopak tutaj z innymi rówieśnikami się mocował, wspinał po drzewach i staczał walki. Dziwne tylko, że zawsze grał w tych walkach rolę bandyty, a teraz jest asesorem i musi oskarżać tych hultajów. — —

Wyszli znowu na gościniec.

Anielcia ujrzała średniowieczną budowę jakiegoś zamku, który jej się bardzo spodobał.

„Co za śliczny zamek!“ zawołała. „Jak cudnie położony, szczęśliwi ludzie muszą go zamieszkiwać!“

„Proszę nie wierzyć pozorom,“ odpowiedział Kurt, bo one najczęściej łudzą. Często w ubogiej chacie więcej szczęścia jak w wytwornych pałacach. Ten zamek ma także bardzo smutną przeszłość. Właściciel jego, nadzwyczaj poważany i lubiany mąż, znikł nagle bez znaku życia, czy wpadł w ręce bandytów, czy też postradał życie niewiadomo. — W tym zamku panoszyła się kobieta, która w zręczny sposób oszukiwała swego małżonka przez długi czas, dopóki jej bezeceństwa nie wyszły na jaw. W biały dzień wypędzono ją na ulicę, — za karę zginęła pewnie gdzieś pod płotem! — W tym również zamku mieszkała dłuższy czas biedna obłąkana. — Tutaj także popełnionem zostało morderstwo na niewinnej, młodocianej panience. Jakiś bandyta wepchnął jej sztylet w piersi na szczęście wyszła z tego cało, ale długi czas pasowała się ze śmiercią. Widzi więc pani, co to za szczęście w tym zamku Sokolskich mieszkało!“

„Zamku Sokolskich“? zawołała Anielcia, stając bez ruchu, „to to zamek Sokolskich?“

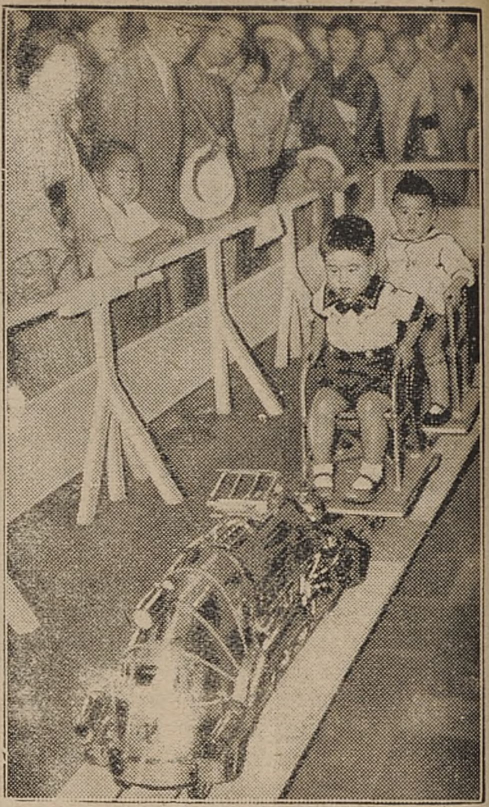
„Tak jest, to zamek Sokolskich. Należał do niedawna do hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Po jego jednak tajemniczem zniknięciu przeszedł w ręce jegu kuzyna barona de Sokolski-Lubsza, który jak wieść niesie podobny do poprzednika jak pięść do nosa. Ma to być jakiś zarozumialec, dandys bez charakteru, prowadzący gorszące, hulaszcze życie.“

Anielcia spoglądała dłuższy czas w zamyśleniu na te mury, w których tyle tragedji się rozegrało. Więc tutaj spadło na jej ukochanego to straszne podejrzenie, które go o mało co nie wpakowało do kryminału.

Najwięcej jednak zadziwiła ją wiadomość, że hrabia Zygmunt Sokolski, którego poznała w Paryżu i o którym nieraz myślała z szacunkiem, znikł tak zagadkowo.

Podczas dalszego spaceru spodkała znowu Kurta:

„I od tego czasu nie słyszano nic więcej o hrabiu Zygmuncie? Jest to możliwe takie zniknięcie?“



W jednym z większych domów towarowych w Japonji została zainstalowana kolejka taśmowa, która stanowi wielką atrakcję dla dzieci.

„Zdaje się niepodobieństwem“, odpowiedział asesor, „a jednak prawdą jest niestety! Hrabia Zygmunt udał się do Berlina i ostatni raz widziano go w hotelu „cesarski dwór“. Od tego czasu znikły wszelkie dalsze ślady“.

„Aha, nasz powóz nadjeżdża już. Musimy wracać do domu, abyśmy przybyli na czas na obiad. Ojciec będzie już czekał na nas.

Anielcia zwróciła się jeszcze raz, siedząc już w powozie, w kierunku zamku, długo, długo przypatrywała się pozłoconym od słońca murom i wieżom.

Ten zamek pociągał ją do siebie nieprzepartą siłą. Zdawało się jej, że tam w oknie stoi hrabia Zygmunt z bladą, smutną twarzą, — wyciąga ku niej ręce i woła:

„Chodź, moje dziecię, chodź tu do mego serca“.

Ha. — precz z tymi głupimi snami! Do niej nikt tego nie powie! Straciła już nadzieję spodziewać się miłości.

Obiad odbył się z wielką pompą. Stara kucharka wysadziła się dzisiaj i spisała niełada. Do tego kwiaty na stole; śliczna zastawa, srebro, kryształy, — wszystko przesadzało się w ugoszczeniu Anielci.

Siedziała pomiędzy Kurtem a Kornelją. I siostra i brat bawili gościa wedle możności. —

Zaraz po obiedzie oddalił się bankier, poszedł na swoją zwyczajną drzemkę poobiednią. Kornelja oddaliła się także, wymawiając się, że ma bardzo pilny list napisać. Sam Kurt tylko został z gościem.

„Panno Anielciu, pozwoli pani, że zaprowadzę panią do ogrodu do mojej ulubionej altany?“ spytał Kurt z prośbą w oczach.

CLXXII.
Wzgardzona miłość.

Kurt podał rękę Anielci i poprowadził ją do altany, do ładnej altany.

Ciąg dalszy na str. 579.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

STARA PIOSENKA

Ciche, wiosenne poranki
pachną wspomnieniem,
gdy wiatr w gałązkach szeleści
drogiem imieniem.

Niebo emalią pokryte
blado - błękitną
i kwiaty w moim ogródku
znowu zakwitną.

I słowik nocą mi kwili
i łka tęsknotą,
gdy zgaśnie zorzy wieczornej
ostatnie złoto.

A kiedy wiosna przeminie,
ktoś w nocy letniej,
starą piosenkę o szczęściu
zagra na fletni.

Jadźka z Kujaw.

PRZYKRO MI OGROMNIE...

„Daisy". Dziękuję Pani serdecznie za wszystkie dobre słowa, którym poświęciła Pani pierwszą część swego listu. Reszta listu Pani zasmuciła mnie a nawet zabolała. Przykro mi ogromnie, że sprawiłam komuś mimowoli przykrość... Proszę, niech mi Pani poda swój adres, abym mogła do Pani osobiście napisać i przekonać Panią, że... sprawa nie przedstawia się tak źle, jak Pani sobie wyobraża. Czy dobrze?

ODPOWIEDŹ DLA „PRZEDWIOSNIA"

„Przedwiośnie". Śliczny i bardzo miły był Twój liścik. Kochanie. Przeczytałam go z zainteresowaniem. Cóż Ci mam na niego odpowiedzieć? Chyba to, abyś częściej zwierzała mi się tak szczerze i całkowicie.

Tomik poezyj „Jadźki z Kujaw" — wysłałam ci i teraz ciekawa jestem, jakie wrażenie zrobiły na Tobie zamieszczone w tomiku wierszyki. Czy napiszesz mi coś o tem?

Pozdrowienia przedrukowuję:

„Czerwona Różo"! Pozdrawiam Cię serdecznie i mocno całuję. Jesteś mi bliską i drogą, gdyż przechodzę to samo, co i Ty. Jeszcze raz ściskam Cię i całuję.

„Blondynko z pod Bydgoszczy"! Nie mam odwagi pisać do Ciebie, bo nie jestem ani z pod Lwowa, ani z pod Krakowa, a tak bardzo chciałabym Cię pokochać i uzyskać wzajemność. Czy pomożesz mi w tem?

„Zawiszę Czarnego" pozdrawiam serdecznie i oczekuję od Niego listu.

ŚWIT...

Poprzez zielone listki wino-grona
Srebrzysto-szary — świt sączy...
Z ócz mych uleciał sen, cichy, drżący,
Jak mgieł opary!
Cicho na świecie, w mem sercu cisza
I odblask słońca,
Co się za lasu wstęgą wyłania,
Tarczą płonącą.
Gdzieś tylko w krzewach parku starego
Ptaszyna nuci...
Nuci mi pioskę przedziwnie słodką,
Że szczęście wróci!
Krople srebrzystej rosy się mienią —
Kolorów tęczą,
A w moim sercu wszystkie uczucia
Radością dźwięczą!...
Ciche westchnienie pierś mą podnosi —
Prężę ramiona!
Z nową nadzieją w nowy dzień idę —
Słonkiem zbudzona!
Uśmiech na usta wypłynął cichy, —
Cichy jak ranek —
Już w myśli splatam nowych wyczynów
Kwiecisty wianek!

„Biała Uajali".

DZIĘKUJĘ JAK NAJSERDECZNIEJ

„Szare Dziewczę II". Przesyłam miłe pozdrowienia dla „Samotnego Tulipana" z zapytaniem, czy nie napisałby do mnie pierwszy, bo ja jakoś nie mam odwagi.

„Kresowiankę" serdecznie pozdrawiam i zapytuje również, czy nie zechciałaby nawiązać ze mną korespondencji?

Pozatem pozdrawiam serdecznie — „Leniuszka" — „Karinę" — „Szybowniczkę" — „Jerzego" — „Człowieka z ludu" — „Szarego Człowieka" — „Pepi w mundurku" i „Dziewczę z Kujaw". Osobno pozdrawiam moją imienniczkę — „Janię" i „Janka z pod Buku"

Najpierw przedrukowałam słowa Pani, przeznaczone dla Sympatyków „Krainy", a następnie przesyłam Pani kilka słów od siebie, słów bardzo miłych, bo trudno mi innemi odpowiedzieć na Pani liścik. A więc w pierwszym rzędzie dziękuję jak najserdeczniej za wszystkie dobre i serdeczne słowa i mocno ściskam 20-letnią „starą pannę" za dowcipną charakterystykę swej osóbki i... już kończę, bo tyle, tyle liścików czeka jeszcze na swoją kolej...

Czy mogłaby mi Pani zdradzić, dokąd wysłać załączoną pocztówkę?

POZDROWIENIA

„Eros" przesyła pozdrowienia: „Zefi" — „Dziewczęciu z Bydgoszczy" — „Pilote K. M." — „Ryśce M." i „Smutnej Wandzi".

NIE ZAPOMINAM

„Nina w średnim wieku". Przesyłam Pani moc pozdrowień i wiadomość, że list z życzeniami przekazałam do własnych rąk p. D. W.

Nie zapominam także pozdrowić w imieniu Pani p. Niulkę K.

NIE WYSTARCZY ZAMILKNĄĆ — TRZEBA SIĘ JESZCZE WYTŁUMACZYĆ

„Eros". Dziękuję Panu za to dzielenie się ze mną wszystkiemi ciekawszemi spostrzeżeniami Ostatnie, dot. koresp., zasługują na uwagę, chociaż... takie spostrzeżenia nie są nowością. Nieraz słyszę bowiem, że ten i ów napisał raz do kogoś i potem umilkł. Powody są różne. Jeden zamilkł, bo niewygodnie mu było przekazywać listy za pośrednictwem „Krainy", drugi przerwał korespondencję ze względów finansowych i t. d. Oczywiście to wszystko nie tłumaczy jeszcze Sympatyczkę lub Sympatyka, który przerywa korespondencję, gdyż każdy powinien poczytywać sobie za obowiązek wytłumaczyć się sam, listownie lub na łamach „Krainy". Tego wymaga prosta grzeczność — niestety, nie wszyscy o tem jeszcze wiedzą. Myślą jednak, że z czasem Sympatycy przyswoją sobie skromniutki „savoir — vivre", obowiązujący każdego członka „Krainy" i skończą się wreszcie wszystkie żale i niezadowolenia.

Co do „Chwili zastanowienia", narazie żadnych zmian nie wprowadzimy, ale później pomyślimy o projekcie Pana. Wyjątek z listu, nie przeznaczony dla mnie, przedrukowuję:

„W. S. 202" — dlaczego nie odpisujesz? Listy dawno wysłałem.

„Szarą Dziewczynkę z Bydgoszczy" — serdecznie pozdrawiam.

„Tamaro"! — czy zechcesz ze mną nawiązać kontakt.

Serdecznie pozdrawiam „Perełkę z Pomorza" — Dziewczynkę z Pomorza" — Ryśkę M." — „Blondynkę z Pałuk" i wszystkich Sympatyków „Krainy".

ALBO... ALBO...

„Jurek z Pomorza". Panienka, o której mi Pan pisze, musi być albo płochą istotą, albo też stosuje wobec Pana specjalną taktykę. Może chce się z Panem podroczyć lub też sprowokować Pana do ostatecznych wyznań lub oświadczyn? Powinien to Pan wyczuć i odpowiednio postąpić. Człowiek, który kocha, powinien być zawsze psychologiem, gdyż inaczej może popełnić dużo nieostrożności, a nawet spowodować „katastrofę", t. zn. zniechęcić do siebie drugą osobę. Sądzę, że wyciągnie Pan z moich słów odpowiedni wniosek i będzie wiedział, jak dalej postępować z ukochaną?

Wierszyk Pana jest bardzo uczuciowy i doskonale oddaje chwilowy nastrój Pana, jednakże brak mu zacięcia poetyckiego. Jest w nim bardzo dużo smutku i łez, jednakże mało poezji i dlatego wierszyk Pana nie oddaję do druku lecz zostawiam sobie na pamiątkę.

Na zakończenie ślę Panu dużo serdeczności i spodziewam się wkrótce otrzymać od Pana nowy list.

„NIE WOLNO MI WIERZYĆ W MIŁOŚĆ"...

„Lilka". Nie znudziła mnie Pani swoim szczerym liścikiem, lecz przeciwnie — mocno zainteresowała, szczególnie zdaniem: „nie wolno mi wierzyć w miłość"... Dlaczego? Czy dlatego, że znalazł się jeden człowiek nieszlachetny i zawiódł Panią, dlatego, że ten człowiek zemstę swą posunął aż do krzywdy Pani? O, to za mały powód, aby wykreślić z duszy tak piękna wiarę!

Czy Ty pomyślałaś już, „Lilko", o tem, że ktoś inny może wynagrodzić Ci doznaną krzywdę. Czy pomyślałaś, że możesz w życiu znowu napotkać miłość prawdziwą, szlachetną, w blasku której zapomnisz o ludziach złych, o zranionem sercu i boleśnie zadraśniętej dumie? Zapewnie nie i dlatego powiedziałaś: „nie wolno mi wierzyć w miłość"... Zaparłaś się bardzo pięknej wiary ale myślę, że wrócisz znowu do niej? Czy tak, „Lilko"?

Napisz mi znowu szczerze i obszernie. Przedewszystkiem donieś mi, czy sprawa posady jest beznadziejna, czy nie dałoby się cofnąć wypowiedzenia, względnie go przedłużyć? Całuję Cię, „Lilko", serdecznie i oddaję do przedruku kilka Twoich słów:

„Leśnej Rusałce" przesyłam moc ucałowań.

Hallo! „Lillo Wenedo"! Odwzajemniam pozdrowienia i żałuję, że nie poznałam Cię wówczas osobiście.

„Puerze" mylisz się, nie jestem...... — dużo pozdrowień!

„Kanareczku" nie jestem tą samą „Lilką", mieszkam w Tczewie... Może jednak do mnie napiszesz kilka słów? Odpowiem chętnie!

Koledze po fachu — „Kraterowi II." — koleżeńskie pozdrowienia!

„Gwidonie", mam ogromną ochotę z Panem pogawędzić na pewien temat, czekam więc i ściskam dłoń.

Rodzeństwu z „Krainy" zasyłam śliczne pa!

A MOŻE?...

„Figlarka". Dziękuję Panu za życzliwość i dobroć i odwzajemniam pozdrowienia Pani w imieniu całego zespołu redakcyjnego i swoiem. Dlaczego nie napisała Pani do mnie dłuższego listu? A może otrzymam kiedyś od Pani obszerniejsze wiadomości?

ŻYCZĘ DUŻO POMYŚLNOŚCI W KORESPONDENCJI

„Kawalerska młodość". Listy wysłałam dalej. Czy otrzymał już Pan na nie odpowiedzi? Pozdrawiam i życzę dużo pomyślności w korespondencji!

PRZED TOBĄ DŁUGIE ŻYCIE I OTWARTY ŚWIAT

„Smutna Sztubaczka“. Straciłaś już, Dziewczynko Kochana, Matusię — osobę, która była w życiu Twojem słońcem i największem ukochaniem. Trudno Ci się z tem pogodzić i zapomnieć o Tej, która pochylała się kiedyś nad Twoją kołyską, strzegła Cię i tyle lat prowadziła przez życie. Płaczesz po Niej jeszcze, chociaż już dawno odeszła, chodzisz często na cmentarz i tam, na matczynej mogile, skarżysz się na życie... Smutno Ci i dziwnie szaro, nic Cię nie cieszy i nic nie bawi, chciałabyś pójść za Matusią...

Dziecino Kochana! Tak nie można! Rozumiem Twój ból i smutek, ale nie uznaję Twego zniechęcenia. Straciłaś wprawdzie Matusię, ale napewno istnieją osoby, które kochają Cię, pamiętają o Tobie i dla których warto żyć? Nie myśl więc o śmierci, Dziewczynko, bo myśl taka mogłaby stać się grzechem. Tyś młoda i zdolna, przed Tobą długie życie i świat otwarty. Nie rozpaczaj! Smutek Twój niech będzie szczery ale cichy, niech nie nuży Cię i nie męczy, ale raczej podnosi. Nie zakładaj bezradnie rąk i nie załamuj ich w rozpaczy, lecz wyciągnij je do życia. Życie jest takie piękne i tyle posiada w sobie treści, trzeba je tylko poznać i umiłować. Prześlicznie powiedział Kasprowicz ludziom smutnym:

W rozbolałego serca żywą księgę,
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduję potęgę,
Oczyszczającą — tak człowiek w boleści.

Słowa te, niech i do Ciebie, „Smutna Sztubaczko“, przemówią i jak najczęściej przychodzą Ci na pamięć.

Kończę już moją odpowiedź, bo tyle innych listów czeka na swoją kolej. Przedtem jednak proszę Cię jeszcze o jak najczęstsze listy. Obdarz mnie zaufaniem i uwarzaj mnie za przyjaciółkę. Chciałabym Ci, Kochanie, zastąpić choć w części Matuśkę — może mi się to uda? Pisz tylko i darz mnie ufnością!

W „post-scriptum“ apeluję do Sympatyków, aby napisali do „Smutnej Sztubaczki“. Przypuszczam, że słowa moje nie miną bez echa i ktoś miły napisze długi liścik do smutnego i bardzo kochanego dziewczątka.

POLNE GRUSZE

„Milena“. Napisała Pani do mnie zaledwie trzy razy, a już stała mi się drogą i bliską. W listach Pani znajduję zawsze to czego daremnie szukam w tylu innych — znajduję nietylko szlachetną duszę, ale i umiłowanie życia i ludzi. Kocha Pani ludzi i chciałaby Pani dużo dla nich zrobić i dużo im pomóc. Pracuje Pani nietylko dlatego, aby nie siedzieć bezczynnie i mieć pieniądze, ale przedewszystkiem dlatego, aby być pożyteczną dla drugich. Podchodzi Pani do ludzi z sercem, chociaż zapewnie sama go mało spotyka wokół siebie...

Przy odczytywaniu listów Pani przychodzą mi zawsze na myśl polne grusze, które chętnie użyczają znużonym przechodniom cienia, a same stoją ciche i samotne. Takich polnych grusz jest mało, ale ludzie wiedzą i pamiętają o nich. Chętnie zrywają z nich owoce i korzystają w skwarne południe z ich cienia. Niejeden zerwie pełną czapkę owoców i idzie dalej, ale drugi przystanie, popatrzy i pomyśli... Polna grusza wyda mu się drzewem jakby piękniejszem i lepszem od innych. Zastanowi się nad jej samotnością i popatrzy na nią życzliwie, inaczej, niż na wszystkie inne drzewa...

Nie wiem, czy polne grusze są rzeczywiście dla Pani symboliczne, mogę się mylić lub nie, więc ucieszę się, jeżeli mi Pani coś o tem napisze.

Kończę już moją odpowiedź i pragnę, aby ktoś zainteresował się i zatrzymał na chwilę przy Pani i popatrzył na Nią inaczej — głębiej i ciekawiej, jak się patrzy na wartościowego i szlachetnego człowieka.

ZAPYTANIE

„Zefi“. Przesyłam Pani jak najserdeczniejsze pozdrowienia i zapytanie, czy zadowolona Pani, czy zawsze jeszcze smutna? Czy znalazła Pani wreszcie spokój w Czar..., czy też i tam trafiły za Panią zmartwienia i powszednie troski? Oczekuję od Pani z niecierpliwością listu.

WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE!

„Narcyz“. Rozgoryczenie Pana jest nieuzasadnione, gdyż taki zawód, jak Pana, nie jest zawodem — jest raczej chwilowem niepowodzeniem. Radzę Panu porzucić zbyt wczesne żale i uzbroić się w cierpliwość. O ile nie otrzyma Pan rzeczywiście od nikogo listu, powtórzymy apel jeszcze raz i zobaczy Pan, że wszystko będzie dobrze. Głowa więc do góry i precz z pesymizmem!

Załączony do listu Pana dopisek, oddaję do przedruku:

„Kto z Sympatyków „Krainy“ wypożyczy mi książkę Bolesława Prusa — „Faraon“? Wzamian ofiaruję obraz własnoręcznie malowany. Na zakończenie, utartym zwyczajem, przesyłam z zacisznego ustronia, pozdrowienia dla: „Zbłąkanego Ptaka“ — „Daletty“ — „Smutnej Różyczki“ — „Nieznanej Zośki“ — „Samarytanki w mundurku“ i „Izarys“.

Po spełnieniu życzenia Pana, jeszcze raz zagrzewam Pana do lepszych myśli na przyszłość i wyzbycia się czarnych myśli. Każdy list Pana sprawi mi radość! — Proszę, niech i o tem Pan pamięta!

TRUDNO...

„Serce Stepów.“ Stanęłam wobec zagadki, którą trudno mi rozwiązać. Zarzuty Pana mogą być i słuszne i nie! Trudno mi jednak powiedzieć coś konkretnego w tej sprawie, skoro sama czuwam nad ekspedycją listów i osobiście je segreguję. Przykro mi niezmiernie, że w „Krainie“ zaszedł ten niemiły incydent i... za obowiązek biorę sobie wyjaśnienie całej sprawy.

Dopisek Pana zamieszczam:

„Djano I.“, dziękuję za przesłane w swoim czasie mi pozdrowienia. Odwzajemniam je z całą serdecznością. Dlaczego nie dała Pani bliższego znaku życia o sobie, chyba okres łowów skończony i znalazłoby się tyle czasu?“

„ŚNIĘ O WIELKIEM, CICHEM SZCZĘŚCIU?...“

„Roza Weneda“. Mieszkam na wsi, w dużym białym domku, okolonym staremi drzewami. Za ogrodem przepływa strumyk i śpiewa swoją srebrzystą piosenkę. Pięknie tutaj jest, lecz pusto i smutnie. Wieczory są zachwycające, szczególnie, gdy księżyc w pełni i dużo gwiazd na niebie. Lubię, gdy w parku szumi wiatr i kołysze lekko drzewa. Siadam wówczas na framudze okna i śnię godzinami o szczęściu. Tęsknię za wielkiem, cichem szczęściu — czy przyjdzie?“

Kto z Sympatyków odpowie serdecznie na ten śliczny liścik?

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Kwiat z Hawai.“ Nie lękaj się życia, Miła Dzieweczko! Młodość wszystko zwycięży — i smutki i przeszkody i wywalczy sobie szczęście. Bądź więc spokojną i porzuć czarne myśli! Przyjm moc pozdrowień ode mnie i — uśmiechnij się!

Zakończenie listu przedrukowuję:

„Strasznie pragnęłabym otrzymać maleńki bodaj liścik od Pań i Panów, których pseudonimy niżej umieszczam: „Takie małe Coś z loczkami“ — „Przedwiośnie“ — „Blondynka z pod Bydgoszczy“ — „Kasperuś“ i „Waldy.“

APEL Z POMORZA

„Sztubak z pod lasu“. Różnice wieku w przyjęciu do „Krainy“ nie grają żadnej roli. Do Do „Krainy“ ma prawo wstępu każdy Czytelnik „Moich Powieści“. Oto moja odpowiedź na pytanie Pana. Resztę załatwi list Pana który niżej zamieszczam:

„Przyjechałem na wieś, na wakacje i trochę się nudzę. Chciałbym sobie urozmaicić nieco czas, dlatego apeluję do Sympatyków „Krainy“ o listy. Odpowiedź dam chętnie i szybko. Jestem blondynem o modrych oczach, 1,72 m wzrostu, pochodzę z Pomorza. Lubię słuchać muzyki i lubię dużo marzyć o niezwykłych rzeczach.“

PODZIĘKOWANIE

Pani Glamowej z Żur przesyłam najserdeczniejsze podziękowanie za przesłane mi pozdrowienia. Łączę również moc pozdrowień i serdeczności!

ŻYCZENIOM UCZYNIĘ ZADOŚĆ

„Sam“. Treść listu Pana przyjęłam do wiadomości. Życzeniom postaram się w przyszłości uczynić zadość. Łączę miłe pozdrowienia.

PROŚBA

„Bolesta“. Nowelka Pańskiego kolegi spoczywa jeszcze w teczce i czeka cierpliwie na swoją kolej. Proszę, niech o tem zawiadomi Pan kolegę i doniesie mu także, że z nadesłanych wierszyków został przeznaczony do druku tylko „Błazen cyrkowy.“

Dziękuję Panu za pierwszy, miły list i spodziewam się, że nie będzie on ostatnim?

Pozdrowienia, przeznaczone dla „Basi“ — przekazuję i proszę Ją w imieniu Pana o liścik.

GŁOS MA „TE-EM“

„Te-Em“ przesyła pozdrowienia „Dumce“ i prosi Ją o liścik. Napewno zaraz odpowie.

„Duśkę“ — „Te-Em“ przeprasza za długie milczenie, którego powód poda w liście.

„Nimfie z Puszczykowa“ dziękuję za pozdrowienia i donosi Jej, że list odebrał, ale... nie było w nim adresu.

„Li z nad Olzy“ przesyła pozdrowienia. List nadeśle.

Wszystkim Paniom, które przesłały Mu pozdrowienia — przesyła serdeczne podziękowania. Osobne — „Wirrytowi.“

ZACHĘTA

„Leniuszek“. Spodziewam się, że moja odpowiedź zastanie już Panią w domu wypoczętą i pełną wrażeń, wywiezionych z obozu w Brodach. Ucieszę się, jeżeli podzieli się Pani ze mną temi wrażeniami już w następnym liściku. A może dołączy Pani znowu jakieś zdjęcie?

Serdecznie Panią pozdrawiam i zamieszczam zgodnie z życzeniem, krótkie zakończenie listu:

„Morowemu Łobuzowi“ dziękuję za pozdrowienie.

„Marjana“ zachęcam do skreślenia do mnie liściku. Proszę się zdobyć na odwagę, „Marjanie“! odpowiedź gwarantowana!“

Teczka Wujka Janusza

NOWELKI — SŁABE

„Narcyz.“ Otrzymałem w tych dniach do oceny dwie Pańskie nowelki. Przeczytałem je uważnie i przyznać muszę, że niektóre myśli Pana są głębokie i przepiękne. O całości jednak nie mogę tego powiedzieć. Proszę, niech Pan przeczyta pierwszą lepszą nowelkę, a zobaczy Pan, ile brakuje jeszcze Pańskim utworom. Serdecznie Pana pozdrawiam i — czy maszynopisy zwrócić, czy też zniszczyć?

NOWELKI I FELJETONY — SŁABE

„Em-Es.“ Nowelki i feljetony Pana są bardzo słabe. Musi Pan jeszcze dużo nad sobą pracować, aby pisać w przyszłości dobre rzeczy. Serdecznie pozdrawiam!

W WIERSZACH DUŻO PATOSU I BŁĘDÓW STYLISTYCZNYCH

„Kaja“. Wierszyków Pani zamieścić nie mogę, gdyż jest za dużo w nich patosu i błędów stylistycznych. „Wiersz dobry trudno napisać“. — pisze Pani. — Nie, wiersz dobry napisać bardzo łatwo, ale trzeba być poetą. Jak najserdeczniej Panią pozdrawiam i proszę o dalszą pamięć.

Raj kobiet

Sukienki dla starszych pań



J 82 089 Skromna lecz bardzo ładna sukienka z białego, lnianego płótna. Kołnierzyk i kamizelka haftowana kolorowem jedwabiem.

J 82 105 Sukienka dla starszej pani z ciemnego, deseniowego jedwabiu. Kołnierz i rękawy wykończone plisowanemi riuszkami.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,90 zł.

Większość kryminalistek — to blondynki

Naczelny lekarz więzienia Saint Lazare w Paryżu na łamach jednego z pism francuskich omawia typy kobiet zbrodniarek, z któremi niejednokrotnie zetknął się podczas swej długoletniej praktyki lekarskiej.

Naczelny lekarz więzienia Saint-Lazare pisze:

„Przez trzydzieści lat lekarskiej służby w paryskiej policji i w więzieniu Saint Lazare przesunęło się przed mojemi oczyma ponad miljon kobiet. Tylko niektóre z tej liczby kobiet były na szczęście kryminalistkami. Moje stanowisko pozwoliło mi poznać najsłynniejszych kobiecych przestępców i motywy, które skłaniały ich do popełnienia ciężkich przestępstw. Jako ogólne zjawisko mogę ustalić pewien wynik moich badań: tak zwane „bohaterki" kryminalistki należą rzadko do najniższych warstw społecznych. W wielu wypadkach są kobietami dobrze wychowanemi.

Madame Steinheil, której proces o morderstwo był jednym z najbardziej sensacyjnych w kryminalistyce przedwojennej, była osobą bardzo kulturalną. Jest rzeczą interesującą, że pospolite zbrodnie zmniejszają się liczbowo po wojnie, gdy natomiast zbrodnie z namiętności zwiększają się znacznie. Do roku 1914 tylko trzy kobiety były jednocześnie oskarżone i uwięzione za morderstwo. Przed rokiem liczba ta wzrosła do 92, co stanowi cyfrę rekordową. W ten sposób kryminalistyka stwierdza smutny wynik emancypacji kobiety. Z 22 aresztowanych kobiet oskarżonych o morderstwo, 18 zabiło przy pomocy rewolweru, trzy użyły noża, aby uwolnić się od swojego towarzysza życia.

Namiętność, zazdrość, ucieczka i nienawiść, cztery motory wielkiej tragedji, zwanej miłością, były w 19 wypadkach na owe 22 głównemi przyczynami zbrodni. Wspomniana Madame Steinheil była typem kobiety o podwójnej twarzy. Niekiedy była spokojna, innym razem okrutna, bardzo piękna, niezwykle inteligentna i dobrze wychowana. Motywy zbrodni, o którą była oskarżona, były mało znane i temu zawdzięczała swoje uwolnienie. Inna z przestępczyń Madame Bessarabo, która napisała szereg dobrych powieści, była zjawiskiem niezwykle interesującem. Zabiła swego męża dla pieniedzy, złożyła potem jego zwłoki do kufra i nadała go na dworcu jako przesyłkę. Obserwowałem madame Steinheil i madame Bessarabo w czasie pobytu w więzieniu St. Lazare i mogę stwierdzić, że obie okazywały równie mało skruchy jak inne kobiety. Uważały za rzecz naturalną, że je uwolniono, gdy natomiast, te które skazano, rzucały się z wściekłością na Trybunał sadowy, który sie odważył skazać je. Wogóle odniosłem wrażenie, jak gdyby kobiety były niezdolne do zrozumienia, dlaczego muszą być w odnośnym wypadku karane, wobec czego uważały to albo za rzecz naturalną albo za bagatelę. Po wyroku większość ataków histerycznych załamuje się i zmienia się w ataki wściekłości.

W czasie wojny aresztowano grupkę niemieckich pielęgniarek, przeważnie młodych dziewcząt. Zakonnica, która czuwała nad niemi, opowiadała mi, jak sympatyczne i grzeczne były te dziewczęta, jak śpiewały przez cały dzień i nie troszczyły się o politykę. Stwierdziłem jednak, że śpiew ich nie był taki niewinny, bo przez cały czas śpiewały w więzieniu „Deutschland, Deutschland ueber alles". Wkrótce potem wypuszczono je na wolność.

Ludzie czytający powieści kryminalne będą zdumieni, gdy się dowiedzą, że kobieta kryminalistka nie ma nic wspólnego z obrazem, jaki żyje w wyobraźni ludzkiej.

Świat i życie

Kawiarniane życie Bułgarji

Sofja stolica Bułgarji posiada jak większość stolic europejskich silnie rozwinięte życie kawiarniane. Lokale sofijskie stale są przepełnione, od wschodu słońca niemal, aż do jego zachodu. To właściwe „salony ubogich" nieprzypominające już dawniejszych brudnych pomieszczeń. Bo kawiarnie śródmieścia modernizują się niemal z dnia na dzień, i przybierają coraz bardziej wygląd zakładów w stylu europejskim. I jedynie tylko publiczność, która je zapełnia, różna jest od publiczności zachodu. Boję się urazić miłość własną mieszkańców Sofji, ale gdybym chciał powiedzieć prawdę, musiałbym przyznać, że kawiarnie nasze nie są ani wesołe, ani przytulne, jak podobne lokale na zachodzie. Brak tu przedewszystkiem owej ciszy i wytwornego zachowania się, które sprawiają, że kawiarnie zachodu przywodzą na myśl czytelnie.

W Sofji, kawiarnie pełne są wrzawy różnego rodzaju blagierów, i odgłosów gry w „Table", w którą grają wszyscy bez różnicy wieku i zajęcia.

Gra ta jest główną rozrywką bałkańską i właściwie nie możnaby jej nic zarzucić, gdyby narzucała graczom milczenie i gdyby nie hałasowano przy niej tak, jakby ktoś walił w bęben. Odgłosy te przeszkadzają tym, którzy idą do kawiarni po to, aby przeczytać pisma, lub porozmawiać serdecznie ze znajomym. Hałas jest ogłuszający, a nastrój przypomina nieco salę licytacyjną.

Wesołość jednak i dobry humor, jaki panował niegdyś, zniknął na długie czasy, gdyż kryzys, którego końca jakoś nie widać, rzucił melancholijny refleks na cały kraj. Dlatego też kawiarnie przybrały charakter raczej przytułków, niż lokali rozrywkowych. Bo przychodzą tu ludzie, którzy się nudzą, nie po to aby się zabawić, lecz pogrążyć się głębiej w ponure myśli, które niemi owładnęły.

Zaznaczyć należy, że w kawiarniach tutejszych podają tylko, podobnie jak w Polsce, kawę, herbatę, ciastka, konfitury, lemoniadę i t. p. Naogół niema w kawiarniach muzyki; dopiero w ostatnich czasach zaczęło się przyjmować umieszczanie głośników radjowych. System mieszany: „Kawiarnia - restauracja", jak to ma miejsce w innych krajach europejskich nie istnieje w naszej stolicy.

Bo i jakżeż możnaby jeść wśród tego ogłuszającego hałasu gry w tabla, od której nie może się odzwyczaić mieszkaniec Bałkanu.

Wprawdzie grają i tu w szachy i karty, lecz gra w szachy uznana jest specjalnie za grę arystokratyczną. Kiedyś oddawano się namiętnie grze w bilard, ale obecnie również z powodu kryzysu stała się zbyt kosztowną rozrywką i sport ten zniknął prawie zupełnie. Jednakże zapaleńcy bilardziści znajdą naciągnięte zielone sukno w dwóch czy trzech kawiarniach i mogą ćwiczyć się w tej sztuce, które zwalcza życie siedzące.

Muszę również zaznaczyć, że gry hazardowe są surowo u nas wzbronione a odpowiednie napisy ostrzegają o tem publiczność. Ten zakaz obowiązuje i w klubach prywatnych, bo prawo jest pod tym względem nadzwyczaj surowe.

Publiczność zapełniająca kawiarnie, może być podzielona na kilka kategoryj: przedewszystkiem więc urzędnicy i pracownicy zakładów handlowych i przemysłowych, przeważnie ludzie młodzi, którzy przychodzą do kawiarni w wolnych chwilach by zagrać partyjkę szachów czy też w „tabla", nie mogą tu jednak przesiadywać długo bo wzywa ich praca. Są to niejako uprzywilejowani od losu, bo bezrobocie wśród inteligencji bułgarskiej panuje w sposób zastraszający, jako konsekwencja zastoju ekonomicznego który stale się wzmaga. Potem idą rentierzy, emeryci państwowi, ludzie przeważnie starsi niespodziewający się już niczego do życia, oprowadzający swą melancholję po ulicach miasta. Wogóle człowiek bezczynny jest ponury, przykry i wiecznie w złym humorze. Trzyma ich w napięciu jeszcze jedna rzecz, polityka. Od rana do wieczora wrzeszczą, chwalą się, wałkują jedne i te same tematy: reorganizacja państwa lub poprawienie finansów. Pozatem piorunują przeciwko drożyźnie.

Wogóle, jak każdy człowiek, znużony wiekiem, emeryt żyje wspomnieniami, mówi o tem co było, nie czyniąc nic dla teraźniejszości ani przyszłości. Są wprawdzie wyjątki: jest to elita, która się nie starzeje. To przywilej ludzi o tęgich głowach.

Wreszcie mamy tu wykolejeńców, włóczęgów i ludzi niemających szczęścia w życiu. Ci ostatni niosą swói krzyż pokornie i nie mają sobie nic do wyrzucenia. Bo na tym źle urządzonym świecie są ludzie, których nieszczęście prześladuje zawsze i wszędzie, jak są inni, ku którym szczęście uśmiecha się stale.

Klasa włóczęgów i wykolejeńców jest najmniej godna pożałowania. Nie potrafili się niczego nauczyć, zmarnowali czas napróżno, niezdolni dokonać niczego poważniejszego, stanowią klientelę najstarszą i najwięcej przesiadującą w kawiarniach; siedzą tu, jak przymurowani do krzeseł, w oczekiwaniu na jakiegoś towarzysza dzieciństwa, czy kolegę, ażeby go „nabrać" na drobną sumkę. Jeżą i narzekają, ale nie przyjdzie im na myśl, aby się czemś zająć. Naogół wszyscy ich unikają bo zbiżenie się ich wzbudza nudę, a lenistwo umysłowe upodabnia ich do zwierząt. Dlatego żyją poza społeczeństwem.

Jednem słowem Sofja ma swoje wyrzutki społeczeństwa, jak każda stolica i większe zbiorowisko, które mielą życie i odrzucają to co się do życia nie nadaje.

Nie mogę tu pominąć i mleczarń, utrzymanych bardzo czysto, o wyborowej klienteli w których wszelka gra jest wykluczona.

W pierwszorzędnych kawiarniach Sofji cudzoziemiec znajdzie nowoczesny komfort, dancing, jakie podaje się w wielkiem świecie, orkiestrę, złożoną z zespołu wybitnie uzdolnionego.

I tutaj Sofia przywodzi na myśl stolicę Europy!

Ze świata

Szkoła dla stulatków

W Oklahoma City (U. S. A.) istnieje szkoła, której uczniami mogą zostać tylko mężczyźni i kobiety po 70 roku życia. Szkoła ta liczy 900 uczniów; najstarszy uczeń ma lat 111, najstarsza ucznnica zaś — 102! Ponadto uczęszcza do szkoły 40 osób w wieku od 90—100 lat, oraz 300 w wieku od 80—90. „Szkoła dla stulatków" jest instytucją prywatną, finansowaną z funduszów prywatnych, a uczniowie nie opłacają żadnego wpisu. Założyciele oryginalnej szkoły wychodzą z założenia, iż nie choroba i wyczerpanie organizmu jest częstokroć przyczyną śmierci, lecz zniechęcenie i utrata zainteresowania dla spraw życiowych. Celem powstania szkoły jest zatem zachęcenie ludzi wiekowych do interesowania się czynnego rozmaitemi przejawami życia, sztuką, zdobyczami nauki, życiem politycznem, oraz do brania udziału w grach towarzyskich, wykonywania niemęczących prac ręcznych itp. Ponadto specjalne lekcje poświęcone są dietyce wieku starszego prowadzone są seminarja dyskusyjne nad rozmaitemi zagadnieniami. Jak twierdzą lekarze, działalność szkoły przyczyniła się w krótkim czasie do zmniejszenia procentu śmiertelności wśród jej uczniów.

Wielożeństwo w Egipcie

Pomimo postępu, jakim się obecnie szczyci europeizujący się Egipt, okazuje się, że stare obyczaje wielożeństwa są w tym kraju jeszcze mocno zakorzenione. Poraz pierwszy opublikowane w Kairze dane statystyczne, dotyczące tak zwanego ruchu ludności" zawierają również ciekawe cyfry, co do zawartych małżeństw i ich formy. Otóż okazju się, że w pierwszych miesiącach 1935 r. zawarto 302.862 małżeństw. Z powyższej cyfry małżeństw monogamicznych było 283.30, pozostałe 19.553 małżeństwa były wielożeństwem. Z tego w 17.950 wypadkach mężczyzna posiadał dwie żony, w 1.456 — trzy, a w 147 razach oblubieniec posiadał nawet kilka żon. Co najciekawsze wbrew utartym poglądom, poligamja nie istnieje w Egipcie w wyższych socjalnie klasach, wielożeństwu oddają się ludzie najbiedniejsi, przeważnie fellahowie, którzy jako rolnicy mają zapotrzebowanie na bezpłatną robociznę, dostarczaną im przez liczne żony.

Chłosta na plotkarki... ale w Arabji

W Arabji, gdzie za oszukaństwo, fałszywe świadectwo, zdradę, bywa publicznie wymierzona chłosta, nie zdarzają się tak często, jak gdzieindziej, plotki i fałszywe oskarżenia.

Tym, którym dowiedzie się, że fałszywie oskarżali, wymierzy się ostrą chłostę; uwolnione są tylko na pewien czas od kar kobiety karmiące, chore, w odmiennym stanie.

Słowem „Leon" oznacza się w Arabji oskarżenie, które wnosi małżonek przeciw żonie, prowadzącej się niemoralnie. Jeśli skarżący mąż nie ma świadków, ani dostatecznych dowodów winy swej żony, musi on 4 razy przysięgać, że jego świadectwo jest prawdziwe, a za piątym razem przeklina siebie, wrazie popełnienia kłamstwa. I kobieta może się w ten sposób bronić przysięgą przed kłamliwem oskarżenia męża, i przed fałszywemi plotkami; a wtedy winowajca karany jest batogami.

Najcięższe kary spotykają krzywoprzysięźców, bo Allah w Koranie powiedział: „Nie będziesz karany za nierozważne słowo, ale kara cię spotka za czyny serca, jeśli przysięgniesz fałszywie". Kobiety arabskie boją się panicznie publicznej chłosty i to je leczy od plotkarstwa i od zdrady.

I o tem warto wiedzieć

Amerykańscy Polacy są właścicielami 160 tys. domów w Stanach Zjednoczonych, które przedstawiają wartość 470 miljonów dolarów.

x

Liczba Polaków zamieszkałych poza granicami państwa polskiego wynosi 9 miljonów.

4 miljony naszych rodaków znajduje się w Ameryce, 4 miljony w państwach ościennych i 1 miljon w innych krajach.

x

Telefony najbardziej są rozpowszechnione naturalnie w Stanach Zjednoczonych, w kraju gdzie wszystko jest naj...

Tam, na 1000 osób przypada 129 aparatów; drugie miejsce zajmuje Kanada — 103 telefonów na 1000 osób, dalej Danja — 83 następnie Nowa Zelandia — 77, Szwecja — 65 Norwegja — 63, Wyspy Hawajskie — 56 Australja — 45, Szwajcarja — 43, Niemcy — 34, Holandja — 25 Luksemburg — 24 Austrja — 23, Anglja — 22, Finlandja — 20, Urugwaj — 17, Argentyna — 16, Kuba — 15, Francja — 14.

Polska stoi na szarym końcu w liczbie posiadanych telefonów, gdyż mamy tylko 4 telefony na każde 1000 osób.

Miastami najbardziej wyposażonemi w aparaty telefoniczne jest New York i Sztokholm, gdzie już na 4 mieszkańców wypada 1 telefon.

x

Dzień 1 stycznia uważany powszechnie za początek roku, był nim już i u Rzymian. Natomiast chrześcijanie w najdawniejszych czasach rozpoczynali rok w dniu 6 stycznia.

Później w różnych krajach różnie zaczynano rok: 25 marca w dniu Zwiastowania N.M.P. (bliskie zrównanie dnia z nocą), w dniu 25 grudnia (przesilenie zimowe), 21 września (jesienne zrównanie dnia z nocą) i 24 czerwca (przesilenie letnie).

Dopiero w XVII wieku ustaliła się data 1 stycznia, jako początek roku.

Pani Jacentowa i jej mąż

(HUMORESKA).

Pani Jacentowa ze sławetnego grodu Zapadła Dziura należała do tych reprezentantek niewieściego rodu, które za nic w świecie nie przebaczą mężowi, jeżeli się czasem gdzieś tam w kompanji zawieruszy w knajpie.

Mimo tych ustalonych zasad swej małżonki, pan Jacenty znalazłszy godną kompanję, szedł do knajpy, nie bacząc na gniew i złość żony, bowiem był to człowiek z charakterem.

A kiedy zdarzyła mu się taka okazja i po niej wracał późno do domu z cokolwiek nadwyrężoną równowagą, wtedy małżonka dawała naprawdę klasyczne przedstawienie, pełne krzyków i płaczu i wymyślnych klątw. Ale p. Jacenty był człowiekiem z charakterem... Nie wdawał się nigdy w kłótnie z płcią słabszą, wycofywał się strategicznie ze swych komnat i szedł na stryszek nad stajnią, tam zagrzebywał się w siano i spał mimo, iż wrzask zacnej połowicy pociągał za sobą niepokój wszelakiego stworzenia domowego, które poczynało akompanjować swej gospodyni, podnosząc okrutne larum gdakań, kwików, ryków itd.

Pan Jacenty naciągał na głowę kapotę, zagrzebywał się głębiej w siano i spał, a budził się dopiero wtedy, kiedy ochrypła małżonka już mówić nie mogła. Zupełnie tak jak młynarz, który się budzi wtedy, kiedy ustaje stukot kół.

Jak już wspomnieliśmy, p. Jacenty był człowiekiem z charakterem, nieodstępującym na włos od swych zasad... Myślał nieraz nad tem, w jaki sposób nakłonić żonę do zmiany jej postępowania wobec niego Ale mimo, iż pan Jacenty należał do najświetlejszych głów w Zapadłej Dziurze, nie mógł znaleźć w swej głowie żadnego argumentu, któryby przemawiał do sumienia swarliwej magnifiki...

Zdarzyło się, iż do sławetnego grodu przyjechali wędrowni muzykanci. Skorzystał z tej okazji właściciel największej gospody w mieście i postanowił urządzić koncert wieczorny, który zwykłym trybem przeciągnąć się miał do rana.

Kiedy wiadomość o koncercie dotarła do p. Jacentego, ten nie pytając o zezwolenie swej żony, ruszył wieczorem do gospody.

— Gdzie się znowu wleczesz? — krzyknęła zacna połowica, gdy pan Jacenty chyłkiem wychodził z domu.

— Pod „Tańczącą Gęś" na jedno duże... Wrócę niedługo — rzucił jej jeszcze na odchodnem.

— Tak?! — poczęła krzyczeć przeraźliwie, a głos jej chwilami przypominał pianie zarzynanego koguta. — Poczekaj, zobaczysz jak cię urządzę, kiedy wrócisz do domu, popamiętasz ty mnie jeszcze!!!!

O tem piekle, jakie nastąpi po powrocie, wiedział pan Jacenty zgóry i nie można powiedzieć, żeby się entuzjazmował obietnicami żony. Ale w knajpie przy stole w gronie zacnych przyjaciół zapomniał o wszystkiem. Muzyka grała aż dusza rosła, piwo było znakomite, anegdoty sypały się jak z rogu obfitości, radość była powszechna, to też pan Jacenty nie spostrzegł, się nawet, kiedy zegar z pobliskiej wieży kościelnej wybił północ.

Z ostatniem uderzeniem zegara przypomniał sobie Jacenty, że w domu czeka go samotna żona, Zrobiło mu się żal połowicy, a w duszy zrodził się jakiś cierpki wyrzut sumienia... Wstał od stołu, pożegnał towarzyszy i pobiegł szybko do domu, ile mu tylko sił w osłabionych piwem nogach starczyło.

Kiedy przekroczył próg izby przyjęła go zacna małżonka potokiem słów, których ze względu na wart- powtórzyć. Zaczęła od „kochany gołąbeczku", przeszła poprzez „włóczęgo", „leniu" i „nierobo", a kość z jaką płynęły i na ekspresję nie można skończyła... na czem skończyła niewiadomo, ale gdzieś tam już pod koniec jej przemówienia, zanim zupełnie ochrypła, brzmiały jeszcze słowa „pijaku", „nicponiu" „utracjuszu", a wreszcie... „spiłeś się jak świnia".

Usta się jej nie zamykały. Stanęła przed nim, wzięła się pod boki i sypała słowa mocne i dosadne, jak sypie kule karabin maszynowy.

Pan Jacenty był człowiekiem z charakterem, nie odezwał się ani jednem słowem do swej połowicy. Ale to milczenie podniecało swarliwą niewiastę, jak ostroga rasowego rumaka.

— Czekaj — krzyczała — dam ja ci naukę! Poczekaj, pokażę ci, czem ty jesteś! Czekaj — tu zadyszała się niewiasta z krzyku — czekaj — odchrząknęła — tylko muszę najpierw zamknąć drzwi. W jednej chwili znalazła się u drzwi sieni i zasunęła rygiel.

— Przecież ja to samo zrobić potrafię — pomyślał pan Jacenty i jednym susem, wykonanym z podziwu godną maestrją mimo, iż chwiał się na nogach, znalazł się w swoim pokoju i zamknął drzwi do niego wiodące na klucz.

Zabezpieczywszy się w ten sposób od szalejącej żony, pan Jacenty wskoczył do łóżka, nakrył głowę poduszką i zamierzał spać.

Kiedy zacna małżonka wróciła z sieni i nie zastała męża w pokoju, na chwilę ze zdumienia straciła mowę. Na tego rodzaju bezczelność do tej pory nie ważył się... A kiedy znów odzyskała mowę, poczęła wołać, ażeby natychmiast drzwi otworzył, jeżeli się nie chce narazić na to, że mu oczy wydrapie! Mimo groźby pan Jacenty nie otworzył drzwi. Wtedy dostojna połowica poczęła szturmować zamknięte drzwi wszystkiem, co jej tylko wpadło w ręce. Powstała dzika i piekielna kanonada i zdawało się, że szyby, okienne, tak już gwałtownie drżące od krzyku, wylecą z kretesem. Do krzyku gospodyni dołączyło się wycie psa, wrzask pobudzonych kur, ryk zdenerwowanych niesamowitym nocnym niepokojem krów, słowem powstał sądny dzień, a raczej sądna noc nastała.

Wreszcie po pewnym czasie zmęczona niewiasta przestała krzyczeć, a wraz z ustaniem jej wrzasku, uspokoiła się gadzina domowa. — Pan Jacenty zagrzebany w stos poduszek chrapał tak głośno, że aż sam od czasu do czasu siebie budził.

Ale spokój domowy nie trwał długo.

Zadyszana pani Jacentowa podeszła do drzwi i zdołała jeszcze wyszeptać:

— Poczekaj-no, będziesz ty spał... Już ja ci ten sen przerwę!

Przysunęła do drzwi stołek, siadła na nim, wzięła w rękę młotek i poczęła bić nim do drzwi raz po raz.

Pan Jacenty nie reagował... Jacentowa poczęła wzmagać częstość i siłę uderzeń, wkładając w nie całą swą wściekłość i poprzysięgła na wszystkie świętości, że choćby miała do rana nie spać, choćby dom się zawalił, będzie bić w drzwi młotem tak długo, dopóki nie omdleje.

Omdlewała już ze znużenia, kiedy na dworze rozjaśnił się zupełnie dzień, ale nie ustawała i tłukła dalej...

W tem rozległo się jakieś pukanie u wejścia do domu, a po niem rozległ się głos:

— Otworzcie tam, przynieśliśmy wam podarek...

Kobieta przestała na chwilę swej żmudnej pracy, podeszła do sieni i otworzyła drzwi. Tu jak żona Lota zamieniła się w słup soli... Oto co dojrzały jej znużone czuwaniem nocnem oczy... Sąsiad Filip, znany opój i hulaka, wespół z policjantem gminnym ciągnęli jakiegoś człowieka trzymając go pod ręce.

— Rachunku nie musi pani wyrównywać, zapłacił już wszystko...

Wprowadzili Jacentego do izby, posadzili go na ławie i ulotnili się w te pędy. Siedział oto przed nią jej mąż i uśmiechał się głupkowato, jak każdy człowiek zawiany. Podniósł się wreszcie z ławy, przeszedł obok oniemiałej ze zdziwienia żony, wdrapał się po drabinie na stryszek (cud, że nie spadł) i tam zakopawszy się w siano począł chrapać aż się kury płoszyły na dworze.

Cóż zatem zaszło? Oto pan Jacenty, któremu pukanie do drzwi młotem przez zacną magnifikę poczęło bokiem wyłazić, wyskoczył oknem z izby i nie przeszkadzając małżonce w jej zacnem zajęciu, zwiał do knajpy. Tam była muzyka, było świetne piwo i jeszcze lepsza kompanja.

Od tego zdarzenia pani Jacentowa już nigdy w nocy nie tłukła do drzwi mężowskiego pokoju niczem. Coś się w niej od tej nocy przełamało. Była cicha i spokojna i poczęła patrzyć na świat i jego sprawy z rezygnacją.

Ślicznie tu wyglądało i Anielcia byłaby wdzięczną Kurtowi, gdyby ją tu samą zostawił, wspomnienia dawnych chwil brzmiały jeszcze silnie w jej głowie, tęskniła za samotnością.

Lecz Kurt nie odstępował jej ani na krok. Na pół żartem, na pół serjo począł wyrażać swe życzenia, by mógł choć na chwilę przemienić się w poetę.

„W poetę", zaśmiała się Anielcia, „to niepewny kawałek chleba, praktyczniej być asesorem".

„A jednak obecnie dałbym całe stanowisko za możność komponowania pieśni, — pieśni dla pani!"

„Dla mnie?" spytała Anielcia i z niepokojem spojrzała mu w oczy.

Dorozumiewała się już dawniej, że była mu drogą, lecz łudziła się zawsze, że to uczucie przyjaźni, które dla niej żywi.

Wyraz jednak obecny jego oczu zatrwożył ją naprawdę.

Co za zagmatwania mogłyby powstać jakie nieprzyjemne chwile czekały na nią?

Asesor powstał. Z przybladłem obliczem i z drżeniem w głosie począł szeptać:

„Anielciu, to chyba nie tajemnica dla pani, że ja ją kocham. Już wówczas, kiedym panią poraz pierwszy ujrzał zrobiła pani na mnie głębokie wrażenie. Po latach znowu Opatrzność złączyła nasze drogi. Miałożby to być przypadkiem? O nie. — to był wyraźny palec Boży, to przeznaczenie!

„Ja wiem, Anielciu, żeś dumną. Pewnie myśl ta, że jako uboga masz wejść w dom bogatych, odstrasza cię! Lecz niesłusznie! Jam uporządkował wszystko, uwiadomiłem ojca o mym zamiarze i ojciec zgodził się na to.

„Co do mej siostry, ona szczęśliwą się czuje że dostanie taką szwagrową, — przyjaciółką ci przecież została.

„A ja, — ja składam całe moje szczęście przyszłe, wszystko, — w twoje ręce i proszę, — proszę cię na wszystko co ci świętem, nie odrzucaj mej prośby, nie zastanawiaj się długo i nie opieraj, — powiedz, żem ci choć trochę drogi, a znajdziesz we mnie odporę, nie będziesz taka sama jedna, opuszczona w świecie. — ja ci wszystko zastąpię na rękach będę cię nosił, — każdą myślą będę się starał uczynić cię szczęśliwą.

Anielciu, oto leżę u nóg twoich i proszę cię o twą rączkę, o twe serce."

Anielcia stała jakby statua kamienna bez ruchu. — Przez pół minuty może nie mogła przyjść do słowa. Przestrach i przerażenie odjęły jej możność mówienia. — Wreszcie pochyliła się ku klęczącemu i pomagając mu powstać, odrzekła:

„Kurcie, mój przyjacielu. Byłeś szczery i otwarty, ja również chcę być otwartą względem ciebie."

Kurt, powstając, chciał ją przycisnąć do piersi, lecz łagodnie, ale stanowczo nie pozwoliła na to.

Dziwne przeczucie owładnęło młodym człowiek. Odstąpił o krok wstecz, wołając:

„O, Anielciu, proszę dobrze wszystko rozważyć, zanim pani powie stanowcze słowo. Dosyć się pani nacierpiała w



Na zdjęciu widzimy uczestników Kongresu Komitetów Igrzysk Olimpijskich, jaki odbył się pod przewodnictwem ministra spraw wenętrznych Rzeszy Niemieckiej Dra. Fricka w Muzeum Pergamon w Berlinie.

życiu, świadkiem tego, teraz się pani nadarza sposobność uciec od trosk. Pani nie powinna odrzucać od siebie tego."

„Muszę niestety," odpowiedziała Anielcia, „Zaraz z początku była moja odpowiedź gotowa. Moje serce —"

„O, pani serce," przerwał jej Kurt, „ono dobre, pełne współczucia, szlachetne."

„Moje serce nie jest wolne. Ono pokochało innego."

„Innego? — O Boże, nie przeczuwałem tego nigdy!"

Ze łzami w oczach stał młody człowiek, wpatrując się w przybladłe oblicze dziewczyny.

Anielcia, przystąpiwszy do niego, położyła mu rękę na ramieniu i rzekła:

„Proszę się na mnie nie gniewać, kochany przyjacielu. Do pana nie mogę należeć, bo kocham drugiego więcej jak siebie."

„A przecież nie wyszłaś pani za niego?"

„Nie, — ożenił się z inną, która go oszukała.

„W takim razie złamał wiarę pani."

„Tego nie można powiedzieć. Wprawdzie przyrzeczenie mi złożył, ale stosunki czasem rozdzielają ludzi jak wiatr plewy rozwiewa. Długaby to była i smutna historja do opowiadania."

„Więc pani go straciła? Spodziewa się pani go odnaleźć?"

„Nie, — straciłam go i nie mam nadziei go odnaleźć, niewiem nawet, czy żyje."

„Ale gdyby żył i pani go odnalazła, a on był — wolny?"

Oczy Anielci zabłysły ogniem i energja. Bez wahania zawołała:

„Wówczas rzuciłabym się w jego objęcia, bo czuję, że i on za mną tęskni, i z miłością przycisnąłby mnie do serca. — Ale to sen tylko, — to fantazja, — on zaginiony, — ja go nie odnajdę więcej!"

Umilkła, tylko łzy popłynęły jej z oczu.

Kurt nie stracił widać jeszcze całkiem nadziei, bo ująwszy ją delikatnie za rękę, począł mówić z prośbą:

„Anielciu, pani sama niema nadziei odnaleźć swego pierwszego ukochanego, więc pocóż rozgoryczać sobie życie temi dawno minionemi rzeczami, oto moja dłoń, proszę ją przyjąć i nie odrzucać od siebie."

„I pan byłbyś zadowolonym połową serca, przyjaźnią tylko?"

„Narazie tak, bo się spodziewam, że moją gorącą miłością rozgrzałbym i pani serce, wyleczyłbym je z tej pierwszej słabości i nauczył bić tylko dla mnie. Proszę więc nie odtrącać mnie beznadziejnie, proszę mi dać iskrę nadziei, będę czekał dopóki pani nie popowie: Kurcie przezwyciężyłam się, — chcę należeć do ciebie!"

Z falującą piersią stała Anielcia w milczeniu. Po jakiejś chwili poczęła mówić z początku cicho, następnie coraz głośniej i dobitniej.

„I gdybym tak zrobiła. Nie przeczę, miałabym zapewnioną przyszłość, całabym się spokojną może nawet w połowie szczęśliwą. Ale przypuśćmy ten pierwszy ukochany zjawia się, — cóż wtedy?

„Milczysz! Ja ci powiem. Byłabym nieszczęśliwą. Dawna miłość ożyłaby na jego widok w sercu mem z podwójną siłą, albo stałabym się niewierną, albo własną ręką musiałabym odebrać sobie to spaczone życie!

Kurt stał, przysłuchując się w milczeniu. Walczył z boleścią, która przejmowała jego duszę.

„Ach", zawołał, „tego mężczyznę, który wszedł w twą drogę, któremu udało się wzbudzić pierwszy płomień w twem sercu, — tego potrafiłbym nienawidzieć, — — zabić!"

„Ależ Kurcie, — na miłość Boską, nie czyń się niesprawiedliwym. Ten mężczyzna nie zasługuje na twą nienawiść i zawziętość. To szlachetny mąż, — ach, gdybyś mógł poznać Kazimierza Zamskiego!"

„Co? — Co słyszę? Hrabiego Kazimierza Zamskiego! To twój pierwszy ukochany?"

Twarz Kurta pobladła. Długi czas nie mógł ze siebie wydać ani słowa, wreszcie wykrztusił więcej jak wypowiedział.

„Teraz wszelkie nadzieje stracone dla mnie. Z tym mężem rywalizować nie potrafię."

Anielcia podbiegła.

„Pan go znasz, znasz Kazimierza Zamskiego?"

Kurt milczał. Prawda, widział go dopiero wczoraj, wiedział, że odjechał do Anglji, lecz ma to zdradzić? — Ma ją stracić na zawsze? — Z drugiej strony czyż mu wolno dwa kochające serca rozłączać, — oszukiwać?

Ciężko walczył chwilę ze sobą, wreszcie odezwał się złamanym głosem.

„Znam i mogę pani więcej powiedzieć, niż się pani spodziewa! Znam go jako zacnego, szlachetnego mężczyznę, pomimo, że stanął mi w drodze, nie mogę go nie szanować. Pani nie potrzebuje długo go szukać. — Wczoraj dopiero widziałem się z nim."

„Wczoraj?" krzyknęła Anielcia, podnosząc drżące dłonie. „Pan przecież byłeś tutaj w rezydencji, więc Kazimierz także tu musi być! — O Boże, — w jednem mieście z nim, — nie przeczuwając tego!"

„Muszę pani nadzieje rozproszyć niestety", odezwał się Kurt, „tutaj go niema, ale ja wiem, gdzie jest obecnie."

„Gdzie, gdzie?" błagała Anielcia.

„Wczoraj w nocy odjechał do Anglji, według mego obrachunku będzie dzisiaj wieczorem w Londynie", odpowiedział młody mężczyzna.

„W Londynie!" zawołała Anielcia. „Kochany przyjacielu, dziękuję panu serdecznie za tę wiadomość, którą umiem ocenić. — O, — proszę mi wierzyć, widziałam po panu, jaką walkę musiał pan stoczyć we wnętrzu, zanim mnie pan wprowadził na ślad Kazimierza, ale to właśnie pokazuje mi, o czem i tak byłam przekonaną, że szlachetne, poczciwe serce mieszka w panu, i że Bóg kiedyś wynagrodzi panu równie dobrem szlachetnem sercem, które pan będzie mógł nazwać swojem!"

„O nie, — przenigdy, nie potrafię innej pokochać", odparł młody Hartman, potrząsając ze smutkiem głową. „Tak gorąco jak ja panią pokochałem, kocha się tylko raz w życiu!"

„Tak się panu teraz zdaje. Za rok inaczej pan będzie mówił. A teraz żegnaj mi pan."

„Co, pani chce się już żegnać?"

„Tak jest, dzisiaj jeszcze wyjeżdżam."

„Dokąd?"

„Do Londynu za Kazimierzem."

„To pani silne postanowienie?"

„Naturalnie."

„Ależ pani nie może sama w taką daleką podróż się puszczać, to przecież z niebezpieczeństwami połączone, niech pani przynajmniej pozwoli, jeżeli postanowienie pani niezłomne, że ja jej towarzyszyć będę w podróży."

Anielcia zaprzeczyła ruchem głowy, mówiąc:



Radosny, pełen beztroski uśmiech młodej dziewczyny... Niewiadomo, co go spowodowało, czy wesołe wydarzenie, czy dowcipne słowa — wystarczy, że jest szczery i serdeczny.

„Dziękuję bardzo za gotowość, ale nie mogę tej ofiary przyjąć, inaczej mogliby sobie to ludzie tłumaczyć we fałszywy sposób."

„Więc pani nie wraca do Berlina?"

„Nie, dzisiaj wieczornym pociągiem chciałabym pojechać wprost do Londynu."

„W takim razie proszę mi pozwolić, że sam przygotuję na to ojca i siostrę. Ale jeszcze jedną, wielką prośbę miałbym do pani. Proszę się nie gniewać. Właśnie wręczył mi ojciec jakiś mały spadek, który zupełnie niespodziewanie przypadł mi w udziale, nie wielki, bo tylko pięć tysięcy marek, oto tu w pularesie mam go i proszę bardzo, proszę mi mej ostatniej prośby nie odmawiać, proszę przyjąć te pieniądze, naturalnie jako pożyczkę — niech się panna Anielcia zastanowi, że podróż, poszukiwania, dłuższy pobyt w Anglji wiele kosztują i niech mi pani nie robi przykrości i nie od rzuca mej ostatniej prośby.

Oczy Anielci zaszły łzami. Biorąc podawany jej gruby pugilares i chowając za gorset, wzięła za rękę młodego Kurta, wołając z uniesieniem:

„Doprawdy nie wiem, czem będę się mogła odwdzięczyć panu za tyle serca i troskliwości. Nie wątpię, że Kazimierz, jak tylko złączę się z nim, uiści się z długu, jaki obecnie zaciągam, bo prawdę powiedziawszy jestem zmuszona do tego. Z mojej pensji nie wiele mogłam odłożyć, a rozumiem dobrze, że droga taka wiele kosztuje. Proszę przyjąć serdeczne, stokrotne dzięki za wszystko dobre, co mi pan wyświadczył, nie zapomnę tego nigdy i będę się starała zawsze z niezmiennem, siostrzanem uczuciem chować pana w pamięci. Jeszcze raz szczere „Bóg zapłać"!"

Gorąco potrząsnęła mu obie dłonie.

Nad wieczorem stary bankier, pytając Kurta, gdzieby umieścić szampan przygotowany na uroczystość jego zaręczyn, otrzymał następującą odpowiedź:

„Kochany ojczulku, muszę ci oznajmić, że panna Anielcia dzisiaj wieczór odjeżdża do Londynu."

„Co?" zawołał ojciec razem z Kornelją, jakby jednemi ustami. „A cóż z zaręczynami?"

„Te się nie odbędą", odparł młody Kurt ze spokojem, ale z widocznem zaciśnięciem zębów. „Panna Anielcia dała mi kosza, nie może mi ofiarować ręki, bo kocha innego."

Można sobie wyobrazić, co za wrażenie wywarły te słowa na ojca i siostrę. Jak na komendę zerwali się z miejsc, przybliżając się do Kurta. Posypała się masa pytań, na które młody mężczyzna odpowiadał jak umiał.

Odpowiedział im pokrótce, że Anielcia poznała się i pokochała z hrabią Zamskim, skreślił im jak go gorąco kocha, że nie waha się pomimo niebezpieczeństwa szukać go aż w Londynie, no i jak szlachetnie z nim postąpiła, wyjawiając mu całą tajemnicę, nie chcąc go zrobić nieszczęśliwym.

Wieczorem przyjmowali stary bankier i Kornelja z podwójnym szacunkiem i gościnnością Anielcię. Szacunek i poważanie, jakie mieli dla młodego hrabiego, zlało się teraz i na Anielcię.

Kurt wraz z Kornelją odprowadzili Anielcię na dworzec i zaopiekowali się nią starannie aż do ostatniej chwili odjazdu.

Kiedy ruszył pociąg, wyszeptał Kurt ze smutkiem do Kornelji:

„Cały mój gmach wyśniony szczęścia runął, okazało się wszystko iluzją. Bądź zdrów, śnie mój złoty i rozkoszny, — bądź zdrów na zawsze!"

Ze współczuciem uścisnęła Kornelja dłoń Kurta. — W milczeniu powrócili do domu.

CLXXIII.

W mieście nad Tamizą

Kazimierz i Elżutka zajechali szczęśliwie do Londynu.

W jednym z największych hoteli „palais Royal" wynajęli trzy pokoiki elegancko i wygodnie urządzone.

Kazimierz podał swoje imię do księgi meldunkowej, Elżutkę wpisał jako swojego sekretarza Alberta Roden.

Pierwszego wieczora postanowili zjeść kolację w hotelu.

Podczas całej kolacji był Kazimierz roztargniony i zamyślony. Myśl jego zaprzątał mimowoli ten głupi pojedynek z baronem Lubszą, który go czekał o szóstej z rana.

Nie chciał wtajemniczać w tę sprawę Elżutki, widział bowiem, że była znużona drogą. Postanowił sam rozegrać tę sprawę. Wprawdzie był dobrym strzelcem i nie potrzebował się obawiać, jednak ta tajemnica, której nie chciał zdradzić przed Elżutką, ciążyła mu widocznie. — Dość wcześnie pożegnał się z towarzyszką i udał się do swego pokoju.

Począł kroczyć gorączkowo po kobiercu, namyślając się, co zrobić.

Duszkiem wychylił kieliszek szampana, poczem udał się na dół do portjera aby go wypytać o „Rattenburg".

Portjer zrobił głupią minę na pytanie takiego dostojnego gościa o tak osławiony budynek.

Nie dał jednak nic poznać po sobie. Był przyzwyczajony do różnych dziwaków. Przyjeżdżali przecież tacy, którzy oglądnąwszy psi cmentarz w Hydeparku i nie popatrzywszy nawet na tysiące innych rzeczy godnych zwiedzenia powracali do domu.

Opisał Kazimierzowi dokładnie, gdzie leży „Rattenburg", kłaniając się grzecznie i z rewerencją.

Hrabia wrócił do siebie. Otworzył okno swego pokoju i począł medytować patrząc na gwiazdy. Taka cudna noc roztoczyła się po ziemi, że Kazimierza aż ciągnęło coś, aby wyjść i przespacerować się.

O czwartej musiał i tak wstać, zresztą nie czuł najmniejszej potrzeby snu, postanowił się nie kłaść, tylko użyć na świeżem powietrzu.

Wyszedł, krocząc bez celu po olbrzymiem mieście, aż zabłąkał się aż do Hydeparku.

Wstąpił do środka, bo znęcił go zapach kwiatów z klombu.

Nie miał żadnej broni przy sobie, tylko laskę, którą mógłby chyba tylko psa odpędzić. Ale któżby go tu miał napastować? Jak okiem sięgnął nie widział żadnej ludzkiej istoty. Park cały leżał samotny, — w tajemniczej ciszy.

Kazimierz udał się wielką aleją w głąb parku. Od czasu do czasu słyszał jakieś westchnienia. Na jednej z ławek spodkał parę zakochanych. Przeszedł prędzej, aby nie przeszkadzać szczęśliwym.

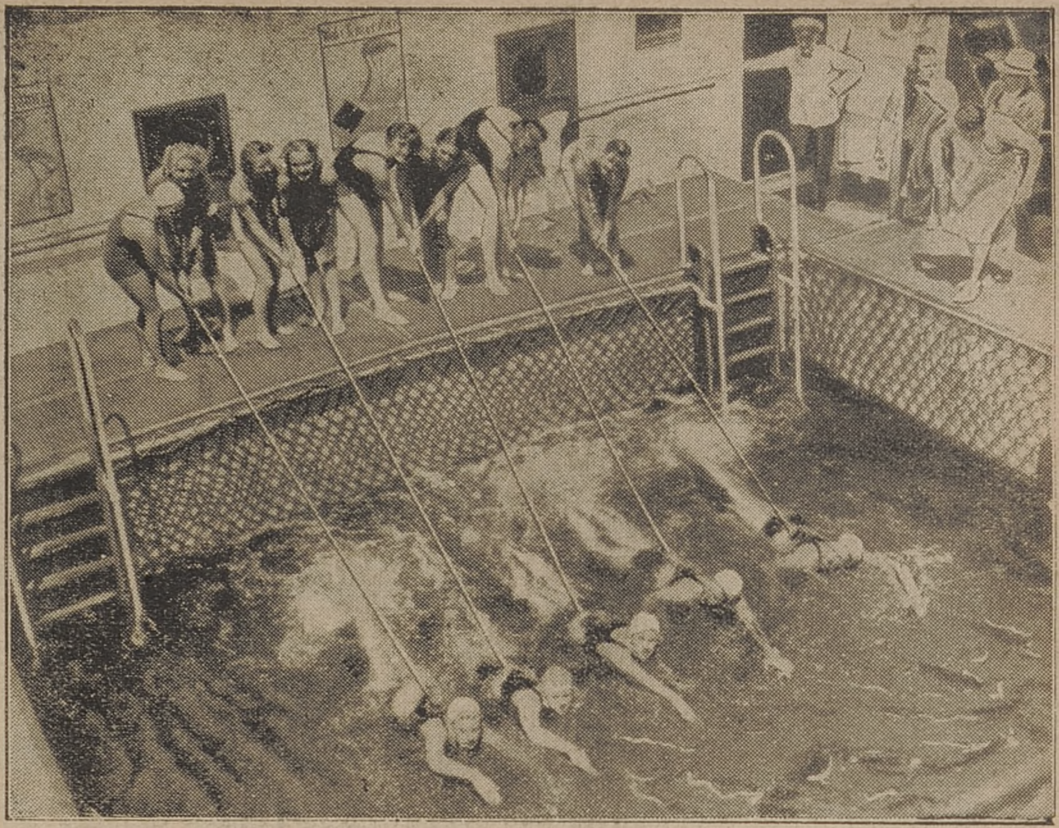
Myśl o Anielci zajęła całą jego duszę.

„Gdzie jesteś moja najdroższa Anielciu"? szeptał sam do siebie. „Dlaczego nie przybędziesz, aby mnie uszczęśliwić? Takbym cię przepraszał za wszystko, — za moje niedowiarstwo w ciebie przez jakiś czas! — Jakże ja ślepy byłem!"

„Przepraszam, która godzina?" zabrzmiał nagle jakiś głos dziecinny, tuż obok niego.

Zdziwiony przystanął i ujrzał przy blasku księżyca jakąś dziewczynkę, która może dziesięć lat miała.

Zaciekawiony, widząc ładną twarzyczkę, zarazem jednak lichą sukienkę nachylił się do niej i spytał:



Amerykańska drużyna pływacka, jadąca na statku „Kalifornja" do Europy, na olimpjadę — zabawiała się w oryginalny sposób w swym ulubionym basenie kąpielowym.

„Dlaczego nie jesteś w domu, o tym czasie, — dzieci powinny być w łóżku, ale nie w publicznym parku".

„Ach, mój panie", odpowiedziała mała dziewczynka, „moja matka słaba, musiałam wyjść żebrać, tymczasem spóźniłam się i zabłąkałam na nieszczęście w tym parku. Czy nie może mi łaskawy pan powiedzieć, która teraz godzina, chciałabym wrócić do domu, do matki".

Młody hrabia wyciągnął swój złoty zegarek z kamizelki i rzuciwszy okiem na wskazówki, odrzekł:

„Za dziesięć minut"...

CLXXIV.

Towarzysze niedoli.

Kazimierz nie potrafił dokończyć zdania.

Z poza drzewa, koło którego stał, wychyliła się nagle jakaś ciemna postać i rzuciła się nań z tyłu. Zanim się miał czas opamiętać, zalepiono mu usta smołą.

Chciał wołać o pomoc, nie zdołał więcej. Bronić także się nie mógł, gdyż w tym samym momencie porwano mu ręce w tył i skrępowano powrozem.

„Przeszukaj mu kieszenie!" zawołał złoczyńca zachrypniętym głosem do dziecka. „Przedewszystkiem bierz zegarek, potem pugilares. Ale spiesz się, nie mamy dużo czasu, mógłby ktoś nadejść!"

Wszystko to stało się tak prędko, że Kazimierz nie mógł nawet zebrać myśli.

Dopiero głos złoczyńcy przywrócił mu przytomność. Głos ten był mu jakoś dziwnie znany, przysiągłby, że już go słyszał raz w życiu.

Chciał się uwolnić z pętów, począł się szamotać, rabuś jednak trzymał go aż za dobrze postronkiem w tyle, nie mógł nawet ujrzeć jego twarzy.

Mały wąż znał się widocznie dobrze na rzemiośle, już zagłębił rękę w kieszeni ofiary, chcąc wyciągnąć pulares, gdy w tem zabrzmiał jakiś męski głos:

„Precz! Co robicie! Ha, to rabunek. Precz, inaczej strzelam!

„Przeklęcie!" zgrzytnął rabuś i popchnął Kazimierza, tak, że tenże upadł. „Nadarmo pracowaliśmy dzisiaj!"

W mgnieniu oka znikł rabuś wraz z dzieckiem w krzakach. Kazimierz podniósł się ze ziemi.

Tuż przed nim stał już młody jakiś mężczyzna w uniformie od marynarki.

Salutując, odezwał się do Kazimierza:

„Nadarmo szukałbym teraz za rabusiem, mają dobre kryjówki, więc nie tak łatwo ich odnaleźć zwłaszcza teraz w ciemności, zresztą, czy tak czy owak kara ich kiedyś nie minie".

Kazimierz otrząsnąwszy pył z ubrania, przystąpił do młodego mężczyzny i biorąc go za rękę, uścisnął mu dłoń serdecznie, mówiąc:

„Mój panie, bardzom panu wdzięczny za pomoc! Nie zapomnę tego, żem winien panu życie!"

„Tak źle nie było", odezwał się młody oficer marynarki, „oni chcieli pana tylko okraść. Ale co mnie dziwi, że pan się odważył tak sam bez broni zapuszczać w nocy do Hydeparku, który przecież słynie z rozboi".

„A dlaczegoż pan się na to odważa?" spytał Kazimierz.

„Ja", odpowiedział nieznajomy, „w pierwszej linji jestem dobrze uzbrojony, a w drugiej linji nie zależy mi wiele na życiu".

„Ależ to straszna melancholja przemawia z pana", odparł Kazimierz, idąc razem z młodym człowiekiem. — „Tak młody i już taki pesymista!".

„Ha, wiele już przeszedłem, pomimo młodości, — kiedyś miało życie dla mnie wartość i uśmiechało się tak samo do mnie jak do całego świata, kiedy

jednak gwiazda moja znikła, — ciemność tylko otacza mnie wkoło".

Kazimierz przystanął. Ciekawie wpatrzył się w twarz młodego mężczyzny.

„Jeżeli się nie mylę", odezwał się miękkim głosem, „to my towarzysze niedoli. Ta gwiazda to pańska kochanka. To samo i mnie się przydarzyło i dla mnie znikło słońce moje, jednak nie poddaję się melancholji, zawsze jeszcze wierzę, że dla mnie zejdzie kiedyś jutrzenka, że odnajdę moją zgubę, — moje szczęście!"

„Mój panie, jeżeli pan ma jeszcze nadzieję", odezwał się nieznajomy, „toś już pan szczęśliwy, — dla mnie nie ma nadziei. Co raz pogrzebane na dnie morskiem to więcej się nie zjawi!"

Szli dalej razem. Nagle nieznajomy przystanął mówiąc:

„Ale pawda, przypadek sprowadził nas tak blisko, a nawet dotychczas jeszcześmy się sobie nie przedstawili. Chcę zrobić początek, moje nazwisko: Marceli Remy, oficer marynarki".

„Hrabia Kazimierz Zamski".

Uścisnęli sobie powtórnie prawice. Pomimo tego, że się dopiero parę minut znali, przypadli sobie tak do gustu, jakby lata całe ze sobą obcowali.

„Czy to tylko pewne, że ta tak droga sercu pańskiemu osoba zginęła i że pogrzebana na dnie morskiem", spytał Kazimierz ze współczuciem.

„Niestety tak. Rozbił się okręt, którym jechała, ja szczęśliwym tylko przypadkiem potrafiłem się uratować. Ach, czemuż nie było mi przeznaczonem zginąć razem z nią, cóż mi teraz znaczy życie bez niej?"

„Straszne te katastrofy morskie", zawołał Kazimierz, „ja także raz o mało co nie utraciłem mojej najdroższej. Zapewnie pan słyszał już, skoro pan przy marynarce służy, o rozbiciu się okrętu „Gloire de France"? — Ale co panu, pan zadrżał nagle"?

„Moja ukochana zginęła właśnie na pokładzie, „Gloire de France", zawołał Marceli Remy zmienionym głosem, na tym okręcie? Ale jak się nazywała, „mój Boże, więc i pańska droga była na tym okręcie? Ale jak się nazywała, proszę mi powiedzieć, może ja ją znam".

„Anielcia Dubois".

„Anielcia Dubois? Mój Boże, cóż to za szczęśliwy traf, żeśmy się poznali, wszakże ja znałem ją doskonale, — była najlepszą przyjaciółką mojej biednej Elżbiety".

„Elżbiety? — Ma pan na myśli Elżbietę Raivngton?" zawołał Kazimierz

„Jakże to, pan zna to imię, — tak, naturalnie Elżbieta Ravington, albo raczej Elżbieta Flower, jak się wówczas nazywała. Doniesiono wprawdzie, że miała się uratować, ale ani śladu jej, pomimo najgorętszych poszukiwań, nie mogłem znaleźć".

„Naturalnie, że się uratowała", zawołał Kazimierz, „poznałem przecież pannę Elżbietę Flower w Ameryce".

„Co, pan ją poznał, — ona żyje może?" krzyknął Marceli Remy z drżeniem w głosie.

„Niestety, mój kochany przyjacielu, muszę na to pytanie odpowiedzieć przecząco. Nie zginęła wprawdzie w morzu, ale zginęła w jednej z przepaści zachodniej Ameryki".

Marceli zachwiał się w tył obydwoma rękami chwycił się kurczowo za serce, — dwie wielkie łzy zabłysły w jego oczach.

Kazimierz opowiedział mu wszystko, co wiedział, naturalnie zamilczał tylko to, że Elżbieta rzuciła się wskutek niego z pędzącego pociągu. Skreślił całe to zdarzenie jako przypadek nieszczęsny, że wychyliła się zanadto z okna, straciła równowagę i spadła do przepaści.

„Nie żyje więc, zabita", szeptał Remy. „Mój Boże, więc jej już nigdy nie ujrzę."

Kazimierz zamilkł, parę minut szli w milczeniu, lecz młody oficer uspokoił się niedługo i prosił hrabiego o skreślenie mu dalszych wiadomych szczegółów. Tak przespacerowali może jakie dwie godziny po parku, nie zdając sobie nawet sprawozdania z upłynionego czasu.

Nagle Kazimierz spoglądnął na zegarek i zawołał:

„Doprawdy, to już trzecia godzina, ranek zaraz zaświta. Ha, teraz już się nie opłaci wracać do domu, zwłaszcza że o szóstej rano czeka na mnie coś bardzo ważnego".

„Co, tak rano? Musi to być rzeczywiście jakaś wielkiej wagi sprawa".

„Panu mogę powiedzieć", odpowiedział Kazimierz, „mam pojedynek. — Ale — doprawdy, — to chyba opatrzność mi pana zsyła, czy nie chciałbyś mi pan jeszcze jednej ważnej usługi oddać, panie Remy?"

„O proszę, stoję do rozporządzenia pańskiego".

„Zgodziłby się pan być moim sekundantem?"

„To obowiązek każdego oficera, oddać taką przysługę przyjacielowi swemu! Ale z kim się pan bije?"



Na tym niezwykłym przyrządzie przebył Hiszpan Jose Palma drogę z Sevilli do Madrytu (600 km). Według doniesień dzienników hiszpańskich miał Palma na niektórych odcinkach drogi pędzić z szybkością... 40 km na godzinę. Kto chce, niech wierzy!

„Z baronem Cezarem de Sokolski-Lubsza", odpowiedział Kazimierz. Sekundant mojego przeciwnika nazywa się Ralf Ravington, kuzyn Elżbiety i jej wróg zarazem. Biedna ta opowiadała mi o nim wcale niesympatyczne rzeczy".

„Naturalnie będę panu sekundantem", odparł Marceli, „to jedno mnie tylko zastanawia, dlaczego przeciwnicy pańscy wywabili pana aż do Anglji?"

„Bo w Prusach bardzo ostra kara za pojedynek".

„Ależ w Anglji także. Dopiero niedawno wydała królowa zaostrzone rozporządzenia karne co do pojedynków".

„Ha, trzeba być ostrożnym, zresztą przeciwnicy postarali się o spokojne, bezpieczne miejsce. — pojedynek nasz ma się odbyć koło Rattenburgu".

„Rattenburgu?" zawołał Marceli, „żyję dość długo w Londynie, więc znam to miejsce jako szczególnie osławione. Teraz ma tam być w tym gmachu, jeżeli się nie mylę, jakiś zakład leczniczy".

„To mi wszystko jedno!" odrzekł Kazimierz, „w każdym razie spodziewają się moi przeciwnicy, że nas tam policja nie przyłapie! A teraz, panie Remy, proszę ze mną do restauracji, trzeba się przecież posilić, jeżeli się chce dobrze trafić".

Młodzi ludzie wyszedłszy z restauracji ujrzeli już wschodzące słońce. Powoli począł się olbrzym — miasto ożywiać i budzić.

CLXXV.

Obrońca.

Lola siedziała w więzieniu. Sprawa jej była aż zanadto jasna. Przy trupie, wyciągniętym z wody, znaleziono list, który wyraźnie wskazywał, kto jest mordercą. Byłoby niedorzecznością wypierać się czynu.

Lola też nie wypierała się. Przyznała, że wtrąciła Arabellę ze skały Loreley do rzeki. Skreśliła zarazem jednak, jak niecnie postąpiła sobie jej matka względem niej.

„Miałam prawo zabić tę kobietę“, zawołała Lola przy końcu przesłuchania „gdyż ona zniszczyła moją młodość, sama zabiła we mnie wszelkie lepsze uczucia, i popchnęła mnie na ścieżkę występku i zbrodni!“.

Sędzia śledczy przyznawał jej może w duszy rację, zrozumiał zapewne, co za nienawiść i złość musiała się w ciągu lat zebrać w oskarżonej przeciw niesumiennej matce. Lecz żaden człowiek nie ma prawa odbierać życia drugiemu, choćby tenże był jego śmiertelnym wrogiem.

Zresztą oszukaństwo względem osoby hrabiego Kazimierza Zamskiego uczyniło Lolę niesympatyczną, nie zasługującą na łaskę.

Księdza, który ją chciał odwiedzić, odepchnęła i obraziła zarazem, wogóle względem wszystkich była nieprzystępną, dumną i niedowierzającą.

Pewnego dnia otworzyły się znowu drzwi jej więzienia. Do środka wszedł jakiś młody, wysmukły mężczyzna, elegancko wystrojony. Twarz jego otaczała ciemna broda.

Lola spoglądnęła na nieznajomego z niedowierzaniem.

„Co pan chce odemnie?“ zawołała, „zapewne chcecie mnie dalej śledzić i wybadywać, com miała powiedzieć, to i tak wyznałam, — czegoż chcecie więcej?“

Młody człowiek stał w milczeniu. Po chwili począł mówić cichym głosem:

„Pani się myli, nie jestem sędzią śledczym! — Przeciwnie! — Jestem obrońcą pani, nazwisko moje Albert Fröden!“

„Bronić chce mnie pan?“ odparła Lola, wpatrując się z uwagą w młodego mężczyznę, „ja myślę, że to się nie opłaci, czy tak, czy owak pójdę pod topór“.

„I to mówi pani tak spokojnie, — nie wzdryga się sece pani przed śmiercią?“

„Ha, a jeżeli się umrzeć musi, — cóż to wszystko pomoże?“

„To jeszcze nie zadecydowane, — zupełnie wykluczonem nie jest, że sędziowie dadzą się zmiękczyć“.

„Dziękuję za to, — zamiast śmierci podyktują mi dożywotnie więzienie — brr.“

„Jednak często się zdarza, że nawet osoby skazane na dłuższe więzienie odzyskują w krótkim czasie wolność. Proszę wziąć na uwagę zmianę panującego, lub jego jubileusz, narodziny syna itd. Proszę pani więc przedewszystkiem nie tracić zupełnie nadziei i opowiedzieć mi wszystko szczegółowo, abym mógł ją bronić“.

Od tego czasu przychodził Albert Fröden codziennie do uwięzionej. Jakkolwiek Lola nie miała wielkiej nadziei w skuteczność jego obrony, jednak przyzwyczaiła się do niego i przyjemnem jej nawet było towarzystwo młodego wykształconego mężczyzny, który nie obchodził się z nią jak z upadłą, owszem traktował ją ze szacunkiem i poważaniem.

Młodego obrońcę oczarowała jednak piękna kobieta swymi wdziękami. Czem częściej ją odwiedzał, tem więcej rozpalał sobie wyobraźnię. Nie widział w niej ani morderczyni matki, ani upadłej, widział tylko ideał kobietę, do której rwało go całą siłą młodocianego serca.

Żeby był przynajmniej wolnym, ale matka jego z domu Hartman już dawno porozumiała się ze swoim bratem, znanym nam już z opowiadania bankierem Hartmanem, żeby młodego Alberta ożenić z córką bankiera, Kornelją.

Albert poznał się już dawno z Kornelją, i młoda, ładna dziewczyna podobała mu się swego czasu nawet bardzo, ale od czasu poznania Loli każda myśl o Kornelji była mu poprostu wstrętną.

Dzisiaj także, odchodząc z więzienia, marzył tylko o oczach Loli. Pomimo tego, że wiedział, iż Lola zgubiona, nie mógł się wyzwolić z jej czaru.

Cała opinja publiczna była przeciw Loli. Sprawę mieli rozstrzygnąć sędziowie przysięgli wylosowani z ludu.

Straszny żal chwytał za piersi nieszczęśliwie zakochanego obrońcę.

Malował sobie w fantazji krew mrożące obrazy ścięcia ukochanej.

Doszedł do domu na pół przytomny. Właśnie chciał się zamknąć w swoim pokoju, kiedy służący oznajmił mu, że matka jego życzy sobie pilnie z nim się rozmówić.

Fröden wstąpił do salonu i stanął na progu jak wryty. Matka nie była sama, koło niej stał jej brat, bankier Hartman, ze swoim synem Kurtem i córką Kornelją.

„Albercie“, zawołała pani Fröden, „wreszcie przyszedłeś, tak długo czekamy już na ciebie, popatrzno, co za miła niespodzianka! Nasi kochani krewni przybyli na tut. karnawał. Ale co tobie? Przybladłeś!“

„O nie, nie, to uciecha tak na mnie, podziałała“, odparł młody obrońca.

Dobywając wszystkich sił i okraszając twarz swą uśmiechem, przywitał się z wujem, z Kornelją i Kurtem, swoim dawnym kolegą i przyjacielem z uniwersytetu.

Rozpoczęły się wzajemne pytania, na które Albert odpowiadał z roztargnieniem.

Nie mógł zaprzeczyć piękności i taktu kuzynce swojej Kornelji, tysiąc razy powtarzał sobie w duszy, że ona godniejszą zostać jego żoną, że ona czysta, niewinna, — tamta druga zaś zbrodniarka, upadła kobieta — niestety, raz rozbudzona namiętność zanadto jasnym płomieniem wybuchnęła.

Rozmawiając z Kornelją, przypominał sobie ostatnią pozę, w jakiej Lolę spotkał. Spała w negliżu na swym tapczanie. Pierś jej ślicznie zaokrąglona podnosiła się regularnie, — białe jak alabaster ramiona odbijały cudownie od kruczych włosów, — na pół otwarte usta krasił czarowny uśmiech.

Nie mógł się oderwać myślą od czaru tej niebezpiecznej kobiety, z każdym dniem, z każdą godziną zaplątywał się więcej w jej sieci.



Jeszcze jedno zdjęcie z wyścigów w Anglji, na którem widzimy dwie eleganckie toalety, wzbudzające wśród zgromadzonej na wyścigach publiczności, ogólny podziw.

Na szczęście zamyślenia jego nie zauważyło otoczenie, jeżeli zaś zauważyło, wytłumaczyło sobie zapewne nawałem drzwi. Na progu zjawił się stary Hart-

Po obiedzie udało mu się uciec do swego pokoju. Lecz zaledwie mógł chwilę odetchnąć, zapukał ktoś do drzwi. Na progu zjawił się stary Hartman.

„Albercie ,miałbym z tobą coś ważnego do pomówienia“, odezwał się bankier, siadając bez ceremonji naprzeciw niego i zapalając cygaro. „Spodziewam się, że się dorozumiewasz, o czem chcę z tobą pomówić. Musimy przecież raz porozumieć się dokładnie. Żeś zakochany w Kornelji, o tem wiem, — twoja matka doniosła mi o tem już dawno. Wiesz także zapewnie o tem, że postanowiliśmy z moją siostrą pożenić was oboje. Będzie to dla nas uciechą, widzieć dzieci nasze razem złączone.

„Właściwie dotychczas Kornelja była winną temu, żeście się jeszcze nie pobrali. Chciała dopełnić wykształcenia, na co musiałem się zgodzić. Teraz właśnie skończyła i dlatego wybrałem się z nią do was. Powinieneś ty był do nas przyjechać i u nas powinny się odbyć zaręczyny, ale, że wiemy, że masz teraz dużo do czynienia i nie możesz się wyrwać uprzedziliśmy cię. Zresztą pomiędzy krewnymi nie trzeba formalności.

„Co do mnie chciałbym, abyście się jutro zaręczyli, co ogłosimy zaraz w dziennikach, w cztery tygodnie później może się odbyć ślub. Nie lubię długich zwłok, tem bardziej, że jestem już stary, i dlatego chciałbym, abyś się pospieszył, żebym was mógł jeszcze zobaczyć razem szczęśliwych“.

Albert siedział jak skamieniały, nie zdołał ani słowem odpowiedzieć.

Pomimo tego, że był już właściwie na to oddawna przygotowany, zamroczyło mu w głowie.

Gdyby był otwartym, powinien był wprost szczerze powiedzieć wujowi, że nie może się żenić z Kornelją, bo zakochał się w innej.

Ale Albert wiedział o tem, że tem samem uczyniłby dwie rodziny nieszczęśliwemi. Swoją matkę i familję Hartmanów, którzy uważaliby to za hańbę dla siebie, gdyby odrzucił rękę Kornelji, z którą właściwie już dawno był w milczeniu zaręczonym.

„No, ty nic nie odpowiadasz!“ zawołał stary Hartman, strzepując popiół z cygara, „aha, rozumiem cię jako adwokat chcesz zapewne naprzód omówić dokładnie sprawy formalne.“

„Ależ wuju!“

„Nie, nie — ja także jestem tego zdania, żeby wpierw rachunki były załatwione, clara pacta czynią dobrych przyjaciół. Jak wiesz mam tylko dwoje dzieci, więc po mojej śmierci przypadnie im cały mój majątek w udziale. Będzie tam już zebranych parę miljonów. — Pieniądze te zdobyte własną mą pracą i obrotnością bez oszukaństwa i łez ludzi, przyniosą wam tylko błogosławieństwo. Zresztą każdej chwili, kiedy zapotrzebujesz gotówki, zwróć się tylko do mnie, — dla ciebie kasa moja zawsze otwarta! A więc wszystko w porządku?“

Bankier wyciągnął rękę do młodego adwokata. Albert nie miał dość siły, aby nie uścisnąć prawicy wuja, mówiąc:

„Kochany wujaszku, co się tyczy pieniędzy, zawstydzasz mnie tylko, ani sekundy nie pomyślałem o tem.“ —

„Wiem, wiem, zanadto kochasz Kornelję!

„No, — zresztą, — pomimo tego, że jestem jej ojcem, muszę ci powiedzieć, że ona ze wszelkich miar zasługuje na to. A więc jutro zaręczyny, chociaż dzisiaj byłoby jeszcze lepiej. Tak, dzisiaj wieczór. Prędko zaproś parę twoich dobrych przyjaciół na kolację, ja sam wzniosę toast! A teraz bądź zdrów, mój kochany! — Daj pyska, synu, mogę cię przecież już tak zatytułować.“

Zanim się połapał młody obrońca, uściskał go stary kordjalnie i znikł za drzwiami.

Albert padł na fotel jak oszołomiony. W duszy młodego człowieka krzyczał bez ustanku jakiś głos:

„Tyś oszukańcem, — nieszlachetnie postępujesz, chcesz niewinną dziewczynę uczynić nieszczęśliwą, — ty jej przecież nie kochasz!“

Albert nie miał odwagi wyznać wszystko swojej matce lub zwierzyć się z tem przed wujem.

Nie uwierzyliby mu, — warjactwem chwilowem by to nazwali, — porzucać godną miłości dziewczynę dla jakiejś tam zbrodniarki, — ha, to tylko szał, — nic więcej.

Przedsięwziął sobie walczyć z tą nieszczęsną namiętnością wszemi siłami, — że napróżno, — był o tem przekonanym. — —



Wyścigi konne w Anglji są zarazem i rewją mody. Na zdjęciu widzimy dwa oryginalne, pełne wdzięku modele sukienek, demonstrowanych na ostatnich wyścigach hippicznych w jednej z podlondyńskich miejscowości.

Tego samego wieczora odbyły się zaręczyny.

Jak młodemu obrońcy się robiło, jak po szumnym toaście starego bankiera wszystko poczęło się cisnąć do niego i gratulować mu można sobie wyobrazić.

Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Najcięższa chwila nadeszła dopiero, kiedy sam na sam z Kornelią znalazł się w pokoju.

Młode, piękne dziewczę objęło go rączkami za szyję i poczęło mu szeptać do ucha pieszczotliwie:

„Kochany Albercie, będę się starała wszelkiemi siłami uszczęśliwić cię, — stać się ciebie godną!“

Jego godną! Tymczasem on bał się dotknąć jej rąk, bo czuł, że niegodziwie postępuje.

„Wszak prawda, Albercie, ty kochasz mnie,“ szeptała znowu Kornelia, obrzucając młodego mężczyznę gorącem spojrzeniem.

„Naturalnie,“ kłamał młody adwokat ściśnionym głosem. „Jakżeż miałbym cię nie kochać, kiedyś ty tak piękna, tak szlachetna.“

„Piękna? O tem nie wiem, szlachetną stanę się dopiero przez ciebie,“ zapewniała Kornelia. — „Nieprawdaż, Albercie, dzisiaj musimy sobie przyrzec, że zawsze będziemy szczerze i otwarcie postępować wobec siebie, że nigdy żadne kłamstwo nie skala naszych ust, bo kłamstwo w małżeństwie, to robak co toczy szczęście dwojga ludzi!“

Ha, — robak ten już począł swoją pracę, przecież skłamał już, mówiąc, że ją kocha.

Albert przyrzekł, czego od niego żądała niczego nie przeczuwająca narzeczona, począł jej nawet szeptać wszystkie te słodkie słowa, jakie zakochani wzajem wymieniają.

Kornelia słuchała go upajając się głosem jego niby muzyką. Wzniosłszy oczy do góry z entuzjazmem.

„Albercie, tyś zawsze dla mnie był ideałem, ach, ja taka szczęśliwa, — tak szczęśliwa, że mogę cię nazwać moim.“

CLXXVI.

Miłość w kryminale

Już dawno północ minęła, kiedy ostatni goście rozeszli się z domu radczyni Froden.

Słodki całus rozdzielił młodą parę.

Albert obejmując Kornelię i całując ją, myślał niestety tylko o uroczej Loli.

Kiedy wreszcie Albert został sam na sam w swoim pokoju, czuł, że coś go dławi i ściska.

Wyszedł na ulicę i przesuwał się przez tłum masek. Karnawał już się rozpoczął.

Pomimo tłumu rozrywającego umysł, myśl jego krążyła tylko koło Loli.

Zapewne śpi już, ale on musi się z nią widzieć, — musi słyszeć z ust jej wyznanie miłości, jakie widział już dzisiaj w jej oczach.

Wszedł do ponurych murów, po kilku słowach z urzędnikiem został wpuszczony do środka.

Odźwierny niemało był zdziwiony, kiedy ujrzał doktora o tej porze, lecz że zawdzięczał ojcu Alberta swoje stanowisko, był z wielką rewerencją i dla syna.

Zrobił tylko uważnym młodego adwokata, by uważał na siebie, bo to kobieta podobna do tygrysa gotowa go znienacka napaść i zrobić mu co złego.

„Ach, to fantazję, proszę tylko spokojnie zamknąć drzwi od celi z zewnątrz, ja się nie boję, przecież jestem mężczyzną, a ona kobietą,“ odpowiedział Froden.

Stary odźwierny pokiwał głową i wręczając adwokatowi latarkę, wpuścił go do celi, zamykając drzwi za wchodzącym na klucz.

Albert, wstąpiwszy do środka, zastał Lolę na pół ubraną siedzącą na kraju łapczana.

Czy słyszała go? Czy poczuła?

Wielkiemi, pytającemi oczyma wpatrzyła się w młodego obrońcę.

Froden nie spostrzegł, że przy wejściu jego lekki uśmiech zaigrał na twarzy pięknej kobiety.

„Lolu, to ja,“ odezwał się Albert Froden, — „obrońca pani.“

„Co tak późno w noc przychodzi pan do mnie?“ spytała Lola, nie powstając z miejsca, „skądże ta wielka ofiara z pańskiej strony, że aż snu się pan dla mnie zrzekł, ja nie chcę, — nie chcę ratunku!“

„Proszę tak nie mówić,“ prosił Albert „ja nie tracę nadziei, że mi się uda —“

„Wyrok śmierci na dożywotnie więzienie przemienić,“ podchwyciła szybko Lola, „a ja tego nie chcę, — ja chcę umrzeć!“

„Pani chce umrzeć, Lolu?“ spytał Albert z drżeniem w głosie. „To nie może być na serjo powiedziane, to chyba

żart, sama pani kiedyś przyzna, żem miał jak najlepsze zamiary —“

„O tem wiem,“ przerwała mu Lola. „Przed kilku tygodniami pragnęłam nawet być uratowaną, ale teraz, — teraz — — —“

„Czemuż przed paru tygodniami miało życie dla pani wartość, teraz zaś nie?“ badał młody adwokat po cichu.

Lola podniosła się z tapczana, siwa koszula osunęła się nieco z ramion, odsłaniając na pół piersi o prześlicznych kształtach.

Przez ciało młodego adwokata przeszedł prąd elektryczny, poczęło mu się robić na przemiany gorąco i zimno. Mąciło mu się w głowie, pociemniało w oczach, już, — już chciał się rzucić, aby przypić się ustami do tych powabnych form, oszaleć do reszty w objęciach tej syreny, — ostatkiem rozumu, resztą sił woli powstrzymał się, — tego nie śmiał czynić, — to mogłoby zniszczyć całą jego egzystencję.

„Chce pan prawdy się dowiedzieć, dlaczego niedawno chciałam żyć, teraz jednak zrzekam się tego?“ spytała wyprostowana piękna kobieta.

„Tak, chciałbym dowiedzieć się prawdy. „Co właściwie pani zabrało chęć do życia,“ odrzekł Albert, oddychając ciężko i głęboko.

„Miłość! wyszeptała Lola ledwie dosłyszalnym głosem. Podniosła rzęsy w górę, oczy rozjarzyły się jakimś głębokim ogniem.

Cały snop tego fosforycznego światła wpadł w oczy młodego adwokata.

„Wiem dobrze“, ciągnęła Lola dalej, „to tak brzmi jak farsa, kobieta skazana na śmierć zakochuje się, — marzy o miłości! A przecież dopiero w tych ponurych murach poznałam co znaczy miłość, — po raz pierwszy owładnęło mną to nieznane, błogie uczucie! Lecz dla mnie upadłej, uczucie to nie błogie, ha, raczej przeklęte, — jestem przekonaną o tem, że mężczyzna, którego pokochałam całą siłą prawdziwego uczucia, pogardza mną. Wiem, żeby był w stanie wybuchnąć szyderczym uśmiechem, gdyby się dowiedział, że ja poważyłam się me oczy podnieść do niego w górę. Przeto chcę umrzeć i zabrać tajemnicę miłości razem ze sobą do grobu.“

Albert odstąpił o jeden krok w tył, głęboka bladość pokryła jego policzki.

„Co, pani poznała miłość dopiero w tem więzieniu?“ zawołał stłumionym głosem.

„Tak jest!“ odparła Lola i obrzuciła adwokata płomiennym wzrokiem.

„Nie rozumiem tego. Sędzia śledczy jest starym mężczyzną, dozorca ma już siwe włosy, — zresztą niema nikogo w tem więzieniu!“

Lola zaśmiała się ironicznie.

„Sędzia i dozorca nie wchodzą wcale w rachubę, — kata dotychczas nie widziałam, — wobec tego darowałam moje serce innej osobie! Niech pan pomyśli tylko!“

Adwokat zamyślił się; lecz w tej samej chwili ujął Lolę za rękę, — i przycisnął ją do piersi:

„Kobieto, jeżeli mnie kochasz, to nie umrzesz w tych murach.“

Toczone, piękne ramiona rzuciły mu się na szyję. — Urocza kobieta szeptała:

„Tak, kocham się! — Teraz wiesz wszystko, — — więc odepchnij mnie z pogardą, — i oddaj katowi. Lecz zanim wymówisz te straszne słowa, — pragnę jeszcze raz skosztować szczęścia!

„Złożę pocałunek na twych ustach, — i z myślą o nim umrę na rusztowaniu!“

Lola wpiła swoje różowe wargi w usta adwokata i oszołomiła go zupełnie własną namiętnością.

Mijały minuty.

Nagle odrzuciła go brutalnie od siebie i zawołała dyszącym głosem:

„Idź — i zostaw mnie samą! Słyszysz, — zakazuję ci przychodzić do tej celi. Idź. — idź, — — Ach, jaka podła ze mnie kobieta!“

Lola zatoczyła się i padła na tapczan. Gwałtowny płacz wstrząsał jej ciałem, rozwiany włos zakrył całą postać, a z pod podniesionej sukni było widać cudownie zbudowaną nogę.

Adwokat zbliżył się do drzwi i słuchał.

Na korytarzu panowała cisza, przerywana tylko chrapaniem dozorcy.

Albert pochylił się teraz nad Lolą i całował namiętnie jej koralowe usta. Występna kobieta przytuliła się do niego i spijała chciwie tę miłosną słodycz.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 9 sierpnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.30 Preludja — audycja z płyt 12.03 „Wiedeń — miasto muzyki“ — koncert 14.30 Audycja dla wsi 17.00 Podwieczorek przy basenie w Ciechocinku 19.00 Słuchowisko „Mąż przeznaczenia“ — Bernarda Shawa 19.40 Koncert kameralny w wykonaniu Marji Wiłkomirskiej i Kazimierza Wiłkomirskiego 21.00 „Wizja Babuni“ — stare melodje 21.30 „Doboszowe Gody“ — audycja muzyczna 22.00 Transmisje i wiadomości z XI. Olimpjady w Berlinie oraz feljeton p. t. „Olimpjada lekkoatletyczna zakończona“ 22.35 Duety wokalne, następnie muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 10 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 1.000 taktów muzyki 16.00 Koncert popularny 16.45 Nieznana harmonja obozów — pogadanka 17.00 Pieśni odśpiewa Hanna Łosakiewicz-Molicka 17.20 Muzyka kameralna z płyt 17.50 „Na kaczki“ — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Recital śpiewaczy Stanisława Drabika 20.00 Utwory fortepianowe Franciszka Liszta 21.00 Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej 22.00 Transmisja i wiadomości z XI. Olimpjady w Berlinie oraz wywiady na temat „Bokserzy, wioślarze, koszykarze i szermierze szykują się do startu“ 22.35 Utwory na viola d'amore 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 11 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Muzyka operowa 16.00 Mała orkiestra P. R., Irena Carnero i A. Zabczyński 16.45 „Jan Zamoyski i bitwa pod Byczycą“ — odczyt 17.00 Koncert orkiestry z Poznania 18.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 19.00 „O piętro wyżej“ — operetka 20.30 „Jak poznałem Nitsche'go“ — szkic literacki J. E. Skiwskiego 21.00 Koncert ork. kameralnej i A. Katz (wiolonczela) 22.00 Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie oraz feljeton p. t. „Sensacje i ciekawostki olimpijskie“ 22.35 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 12 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku 16.15 Koncert solistów 17.00 Koncert z poznańskiego Ogrodu Zoologicznego 17.50 Anegdoty z życia Franciszka Smolki 19.00 „Amerykański Week-end“ — obrazek muzyczny 20.00 Słynne symfonje 21.00 5-ta audycja „Utwory Fryderyka Chopina“ (płyty) 21.30 „Przy księżycu“ — piosenki i melodje nastrojowe 22.00 Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie 23.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 13 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert południowy 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 16.40 „Duch wojny“ — odczyt 17.00 Recital Heleny Ottawowej 17.30 Sonata g-moll na skrzypce solowe — Bacha 17.50 „Korespondencja z letniska“ 19.00 Premjera słuchowiska „Podróż w inny świat“ 19.30 „Melodje hiszpańskie“ — koncert 21.00 Nasze pieśni 21.25 „Niedziela za drągiem“ — audycja muzyczna 22.35 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 14 sierpnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.23 Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej 15.30 Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — finał jedynek wioślarskich z udziałem Vereya 16.15 Mała Orkiestra pod dyr. T. Rydera — z Łodzi 17.00 „Akademickie uczelnie prowincjonalne“ — odczyt 17.15 „Pieśni rycerstwa polskiego“ 19.00 Mozaika muzyczna 20.25 Transmisja z Salzburga trzeciego aktu op. „Śpiewacy Norymberscy“ 22.35 Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 15 sierpnia 1936 r.

8.00 Audycja poranna 10.05 Transmisja nabożeństwa 12.03 Poranek muzyczny ze Lwowa 14.30 Audycja dla rolników 15.30 „Z błoń krakowskich w górskie hale“ — audycja muzyczna dla dzieci 15.45 „Marsz pułków pomorskich“ — koncert 16.25 Szlakiem zwycięskiej piosenki“ — audycja ze Lwowa 17.00 Koncert z Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu 18.15 Podpourri i wiązanki jazzowe 19.00 Koncert orkiestry i solistów 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą „W dni sierpniowe“ 21.00 „W domu i w wojsku“ — koncert 21.30 Dwa skecze „Zmarnowana kula“ i „Tajemniczy supełek“ 22.35 Sam mazurki — koncert 23.00 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENA

L O G O G R Y F

 uł. „Eros“



Wyrazy pomocnicze:

lewar — kwiat,

grunt, podłoże — owad,

lasek — część śluzy,

łącznik — imię żeńskie, zdrobniałe

zdobycz — dostojnik w Anglji

opłata — część twarzy

ptak — in. miech

narty — góra pod Troją

postać biblijna — imię żeńskie

głos — przysmak

b. minister polski — pierwiastek chem.

imię perskie — rodzaj wierzby.

Znaleźć 24 trzyliterowe wyrazy i umieścić je w rzędach poziomych figury tak, aby ostatnia litera pierwszych wyrazów, była zarazem początkową drugich. Rząd środkowy da rozwiązanie.

U Z U P E Ł N I A N K A

uł. „Płacząca Brzoza“

S—e— —i—j z— —s—e i w—z—
—z—e s—e o—o—i—z—i!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 14 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 30 „Moich Powieści“: M e t a m o r f o z a: 1. Maszt, 2. Masza, 3. Maska, 4. Kalka, 5. Kolka. B i l e t y w i z y t o w e: 1. Telegrafista, 2. Warszawa.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Djonizy Janicki — Gniezno, M. Kulcenty — Fałkowo, „Eros“, Wacław Goździejewski — Zimnowoda, Anna Wawrynowiczówna — Biadki, Józef Kiczewski — Łódź, Aleksander Kapuściński — Kalskowice, A. Kalak — Wadowice, Stanisława Markiewiczowa — Bydgoszcz, Juljusz Kowandy — Wilno.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Annie Wawrynowiczównie z Biadek i Józefowi Kiczewskiemu z Łodzi.

HUMOR

Powód ocalenia

Lotnik: — Więc tylko pan jeden ocalał z załogi tego okrętu? To ciekawe! Niechże mi pan opowie, jak się to stało?
Marynarz: — Ano urżnąłem się w porcie i spóźniłem na statek.

Przeszkoda

— Czy miałeś już jaki wypadek podczas lotu z aparatem?
— O tak, raz w żaden sposób nie mogłem wylądować bo moja teściowa stała z parasolem na lotnisku.

„Wersalska grzeczność"

Szef: ...a teraz mój kochany Józku skończyłeś okres terminowania, nie będę ciebie więcej „tykał". Od dnia dzisiejszego pan będzie zamiatał kantor!

Wytłumaczył

— Czy gołąb, który przyniósł Noemu gałązkę oliwną był samcem czy samiczką?
— Samcem.
— Skąd wiesz?
— Bo samiczka nie mogłaby trzymać dzióbka tak długo zamkniętym.

W celi więziennej

Więzień 1-szy: Dostałem dziesięć lat za okradzenie bankiera Kohna. A ty?
Więzień 2-gi: A ja jestem właśnie bankier Kohn.

Złe wychowanie

Te małpy w ogrodzie zoologicznym nie są wcale wychowane. Wyobraź sobie! Dałem jednej z nich kilka cukierków, potem ona samą wzięła mi chustkę i melonik, a na dodatek pokazała mi język.

Na wsi

Warszawianin u przyjaciela swojego na wsi, udaje doskonałego jeźdźca. Wybierając się na spacer konno, kładzie na konia siodło, obróciwszy je tyłem do przodu.
— Na odwrót? — mówi przyjaciel.
— A ty skąd wiesz w którą stronę ja chcę jechać?

Oryginalna recepta małomiasteczkowego felczera

Rp. Hyene sól Fury pół skrupuł Saharę albe Uncyje halbe Machen dy pulwis, na sześć proszki do środka jak Żymniucha ma trzęsić a prócz tego o Lija ryczyna i żele dla kobiety.
Icek Ananas.

Łobuz

— Ty łobuzie jeden, gdyby ojciec twój widział twoje postępowanie, osiwiałby ze zmartwienia.
— To byłoby dla niego z wielką korzyścią.
— W jaki sposób?
— Bo mój ojciec jest łysy jak kolano.

Bez złudzeń

Młody adwokat (do oskarżonego): — Przekonany jestem o pańskiej niewinności.
Klijent: — E, widać, że z pana mecenasa to jeszcze młody adwokat.

Zrewanżował się

Nauczyciel: — Słyszałem, że z ciebie Karolku jest straszny łobuz.
Karolek: — To jeszcze nic, ale gdyby pan tylko słyszał, co moi rodzice o panu mówią!

Dla pamięci

— Wiesz mężu, powinieneś bezwarunkowo kazać się sfotografować.
— Po co? dla kogo?
— Dla mnie, mój kochany. Tak rzadko bywasz w domu, że boję się, iż zapomnę zupełnie jak wyglądasz.

Co lepsze

Stały gość do kelnera: — I to ma być befsztyk? Przecież to można pęknąć ze śmiechu...
Kelner: — Dzięki Bogu, panie doktorze, że pan to tak przyjmuje... wszyscy goście dotąd wymyślali co się zmieści!

Dziwne

— Wiesz co, wszystko, w co włożyłem pieniądze, z wyjątkiem jednej rzeczy uleciało w powietrze.
— Z wyjątkiem jakiej?
— Z wyjątkiem balonów.

Dobry mąż

— Muszę mieć koniecznie w tym roku nowe futro — oświadczyła żona pewnego słynnego chirurga.
— Dobrze moja droga! — zgodził się. — Zaraz zbadam, kto z bogatszych ludzi cierpi na ślepą kiszkę.

Cudowne dziecko

— Czy to pańska córka?
— Tak. Powiadam panu, to cudowne dziecko. Ma dziesięć lat i nie gra na fortepianie...

Jej najlepsza rola

Aktorka: W której roli podobam ci się Kasiu najlepiej?
Kucharka: Jako nieżywa, wielmożna pani.

Oburzony

— Zrzekam się posagu dla pańskiej córki!
— Co? pan się zrzeka? Pan chcesz, żebym mu córkę darował?

Winien kot

Dyrektor więzienia (do nowo odstawionego więźnia): — Toście się tu znów zjawili. Nie długo trwała wasza wolność, zaledwie kilka tygodni.
Więzień: Panie dyrektorze, ja wiedziałem, że nie długo będę wolnym, bo gdy ostatni raz wychodziłem z więzienia, kot przeleciał mi przez drogę.

Mieszczuch na wsi

— Budzić pana chyba nie potrzebujemy. Kogut pieje wcześnie.
— Dobrze. Proszę nastawić go na siódmą rano.

Ma wszystko

Żona do męża:
— My współczesne kobiety mamy ciężkie życie. Jakże dobrze było Ewie w raju.
— Nie widzę żadnej różnicy — odpowiada mąż — masz też ogród, masz też męża, i nie masz co na siebie włożyć.

Bigamista przed sądem

Przed sądem staje człowiek po raz drugi oskarżony o bigamję.
Sędzia: — Jesteście recydywistą?
Oskarżony: — Nie, panie sędzio, nieszczęśliwy obłąkany!

Uspokoiła go

— Mam wrażenie, że od pewnego czasu uważa mnie pani za głupca ?
— Ach! Broń Boże! Staram się nie sądzić ludzi z powierzchowności.

Dobry uczeń

Ojciec — Jasiu, co ty robisz w szkole?
Syn — Nic, proszę taty — siedzę i czekam, aż zadzwonią i puszczą do domu.

„Czy wie pani?"...

— Czy wie pani, jaka jest różnica między taksówką a tramwajem?
— Nie.
— W takim razie pojedziemy tramwajem.

Żywy trup

— Antek, cóżeś taki ważny dzisiaj?
— Bo ja zginąłem w pojedynku.
— Jakto? Zginąłeś, a chodzisz!
— Miałem mieć pojedynek... Właśnie moi sekundanci mnie teraz szukają.

Powód włożenia nowej sukni

Mąż. — Jeszcze jedna nowa suknia?
Żona. — Nie mogłam, mój drogi, postąpić inaczej; muszę przecież móc coś włożyć na siebie, by przyjąć jutro nową pokojówkę.

Rozpacz

— Skoro mój mąż umarł, to i ja żyć nie chcę! Pójdę za nim.
— Bój się Boga! Kobieto dajże mu trochę odpocząć — przynajmniej w grobie!

Nic nowego

Kabalarka: — Widzę w kartach coś szczęśliwego. Blondyn myśli napisać do pani.
Pani: — Wiem, dostanę rachunek od mego krawca.

Przyzwoici zięciowie

— Mój zięć, to bardzo przyzwoity człowiek, nie upomina się o posag.
— Mój jeszcze przyzwoitszy, bo mi nawet córkę odesłał.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.
Wystarczy adresować:
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.